MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVIII. Nr. 17 WARSZAWA, 17 KWIETNIA 1938 R. CENA NUMERU 80 GR.

TRUDNOŚCI CZECHOSŁOWACJI

PRZYŁĄCZENIE Austrii do Niemiec stworzyło dla Czechosłowacji sytuację nie tylko nader kłopotliwą, ale i nader niebezpieczną. Już obecnie okazuje się, że atak najbliższy Berlina skieruje się w kierunku Sudetów, plebiscyt przecież z dnia 10-go kwietnia miał podniecić ludność III-ciej Rzeszy właśnie na temat Niemców Sudeckich. Praga oczywiście okazuje silne zdenerwowanie. Jest rzeczą aż nadto pewną, że zdaje sobie sprawę z trudności, jakie postawi jej przyszłość, może już niedaleka.

Koła monarchistyczne austriackie jawnie oskarżają Benesza o przyśpieszenie dokonania *anschlussu* przez przeciwstawienie się z jego strony powrotowi Habsburgów na tron cesarski. Zdecydowane stanowisko w tej kwestii Czechosłowacji może — według zdania monarchistów — ugodzić ma rykoszetem w samą Pragę, jej polityczną niezawisłość i trudno nie przyznać jednak racji samemu poglądowi.

Już po dniach 11-stym i 12-stym marca oczy całego świata zwróciły się, jakby automatycznie na kraj Sudecki. Poseł Rzeszy w Pradze nie omieszkał z wielomówiącą skwapliwością zapewnić czynniki rządzące o postawie Berlina dalekiej od wszelkich kroków agresywnych pod adresem Czechosłowacji, ale mimo to świat cały nie przestał patrzeć. Patrzeć i czekać. Nie czeka jednak praskie ministerstwo obrony i że skwapliwością ogromną przystąpiło do budowy pasa ochronnego. Zamierzenie ogromne, jeśli się weźmie pod uwagę położenie geograficzne.

Henlein, wódz Niemców sudeckich oświadczył, iż partia narodowo - socjalistyczna, której przewodzi, nie podporządkowana jest władzom partii narodowo - socjalistycznej w Berlinie. Oczywiście, innego oświadczenia złożyć nie mógł, ale, kto chce, niech wierzy... Henlein jest dziś kierownikiem najsilniejszego Stronnictwa w parlamencie praskim. Silniejszego, aniżeli czescy agrariusze.

Ruchy autonomiczne wśród mniejszości zamieszkujących granice państwa czechosłowackiego duże znajdują oparcie w postawie niemieckiej ludności Sudetów, Ruchy te, których najdawniejszym i najsilniejszym przejawem jest kwestia Słowaczyzny, zmusiły ostatnio premiera Hodżę do wiele mówiącego oświadczenia. Oświadczenie to dyktowane było wytworzoną obecnie sytuacją. Trudno w nim nie dostrzec stwierdzenia rozkładu. Tak, tedy, trudności Czechosłowacji płyną nie tylko z powodu mniejszości niemieckiej tak licznej, tak zorganizowanej, kierowanej jedną myślą, jedną taktyką. Wiecznym problemem, który trwa a zaostrzył się ostatnio jest problem słowacki.

Ostatnia mowa wygłoszona w senacie praskim przez senatora Andrzeja Janczaka, członka słowackiego stronnictwa ludowego, zawierała nawet zapowiedzi sabotażu. „Wy (t. j. Czesi) — mówił — jesteście głusi i zdezorientowani. Boję się, że gdy nadejdzie czas, iż będziecie musieli posłać po Słowaków specjalny pociąg, jak to uczynili Węgrzy w 1918 r. to pociąg ten powróci do Pragi pusty, tak jak powrócił pusty do Budapesztu, gdyż żaden ze Słowaków nie wsiadł do niego".

Senator Janczak oczywiście tego wcale nie pragnie, ale ostrzega. Ostrzega, o ile Czesi nie uznają pełnej autonomi słowackiej, rozumie się w granicach obecnego państwa. Zapewniał, że Słowacy uznają republikę czesko-słowacką, nie uznają natomiast narodu czechosłowackiego. „Czesi winni uświadomić sobie, że naród słowacki żyje i żyć będzie bez względu na to, czy się im to będzie podobać, czy nie".

Ostry ton oraz wyraźne rozgoryczenie skierowane szczególnie przeciw premierowi Hodży wskazuje, iż państwo idealnego liberalizmu, jak twierdzą uparci zwolennicy demokracji na świecie, w gruncie rzeczy, przez nieposzanowanie uczuć narodowych Słowaków, słusznie — według słów Janczaka — uważanych za współtwórcę państwa, którego są obywatelami, wystawia sobie świadectwo dalekie od *„fraternité"*, zasady teoretycznie wywieszanej na swoim sztandarze. O tem wiemy

coś nie coś i my Polacy. Bo nie wystarczy otwierać podwoje dla exulantów, ofiar najrozmaitszych systemów jawnie totalnych. Exulanci ci też kiedyś przysporzą (napewno!) wiele Czechosłowacji kłopotów.

Bojową postawę księdza Hlinki i jego stronnictwa cechuje jeszcze duża lojalność wobec Pragi. Cóż dopiero mówić o księdzu Jehliczce, głowie emigracji Słowackiej, którego akcja zmierza wyraźnie do złączenia Słowacji z Węgrami, powrót do Korony Świętego Stefana w formie kraju autonomicznego! Można się w akcji ks. Jehliczki dopatrywać inspiracji Budapesztu, nie mniej ona istnieje a podtrzymywana jest sporymi i mocnymi ośrodkami węgierskimi leżącymi akurat w centrum samej Słowacji. Siły inspiracji Budapesztu lekceważyć nie można, wszelkie bowiem oznaki wskazują, iż wzmaga się ona i wzmagać się jeszcze będzie. Budapeszt, zresztą, rękę wyciąga również i po Ruś Podkarpacką. Stając zawsze w obronie jej praw, jak to było chociażby ostatnio 29-ego marca. Oto słowa posła Szulloe podane według relacji PATa: „My Węgrzy, wraz z naszymi braćmi Słowakami domagamy się, by w republice tej mógł każdy naród żyć na swym terytorium według swych życzeń. Podstawę autonomii, której domagamy się, wytworzyła umowa pitsburska, autonomię Rusi Podkarpackiej gwarantuje traktat pokojowy. Rząd nie wypełnił ani jednego z tych warunków i to jest przyczyną obecnej sytuacji.

Do kategorycznych żądań przyłączył się też i głos polski wysuwający ze swej strony żądanie narodowej autonomii dla ludności polskiej, Na owym słynnym posiedzeniu parlamentu, w dniu 29-tym marca, poseł Wolf podał w formie wniosku stanowisko Związku Polaków.

Sytuacja dla Czechosłowacji wytworzyła się naprawdę bardzo poważna i najeżona wielkimi trudnościami. Przyczyna leży w samej strukturze państwa czechosłowackiego. Stanowiąc typowe państwo narodowościowe, Praga nigdy nie chciała uznać tego za rzeczywistość, ale prowadziła politykę skrajnie nacjonalistyczną, drażniącą uczucia narodowe innych, politykę ciasną i krótkowroczną. Czechosłowacja wyrosła z pomocą lóż masońskich, na lożach oparła swą politykę, lożom służyła, na nie też liczy w chwili obecnej. Szukała zawsze gwarantki swej niepodległości a za taką uważała w pierwszym rzędzie Francję, dzisiaj cieszy się, lub udaje, że się cieszy z deklaracji Chamberlaina złożonej 24-go marca, wzrok ma swój jednak zwrócony w stronę... Sowietów.

Szukanie przyjaźni w Moskwie datuje się jeszcze z czasów filorosyjskiej orientacji przedwojennej. Po wojnie, mimo rewolucji komunistycznej, uczucia czeskie nie zmieniły się. Liberalna i demokratyczna Czechosłowacja widzi snać w Stalinie i ustroju sowieckim ideał ustroju, który u siebie (formalnie...) pielęgnuje. Oglądanie się na pomoc Rosji, co przejawia się obecnie choćby w szczególnym zajęciu się Pragi problemem kolei transylwańskiej, wytwarza w Europie groźbę zaognienia czerwonego ogniska zapalnego. Pamiętajmy, że stanowcze już i nie ulegające żadnej kwestii załamanie się frontu komunistycznego w Hiszpanii zmusi Związek Sowiecki do szukania nowych punktów oparcia dla swej ekspansywnej polityki, a oferta Pragi jest nie do pogardzenia. Za błąd ten polityki czeskiej, jeden z największych, jakie w ostatnich czasach popełniła, można drogo zapłacić i już się nawet zań płaci. Wiadomo, że z dnia na dzień rosną w Czechosłowacji wpływy komunistyczne. Ostatnio np. w wyborach ogólnoakademickich władze związku studentów znaczną większością opanowali komuniści. A więc rozkład nie tylko państwa, ale już i narodu w jego najmłodszych pokoleniach i to warstwy kierowniczej, oświeconej. Bardzo niebezpieczne.

Kultywowanie świadome czy wypływające poprostu z rodzaju protektoratu komunizmu, dać może w przyszłości powód dla Rzeszy, a choćby tylko nawet pretekst do akcji. Jakby wówczas wyglądała formuła Chamberlaina? To zależy od okoliczności... Tak zresztą mówił i sam Chamberlain.

Trudności dla Pragi rosną i rosnąć będą z dnia na dzień, chyba, żeby się Praga zdecydowała na zmianę swej polityki całkowitą. Ale projekty stawiania w Cieszynie pomnika Kramarza mówią wyraźnie, iż na zmianę w kierunku jedynie dla Czechosłowacji zbawczym, wcale się nie zanosi. Praga trzyma się uparcie kursu, który doprowadził ją do obecnej sytuacji, sytuacji nad wyraz poważnej i już tragicznej.

J. Ba.

DANIA W DAWNEJ LITERATURZE

ANDERSEN, Herman Bang i jeśli wolicie — Pontoppidan — oto kilka nazwisk reprezentujących u nas literaturę kraju, którego miniaturowe rozmiary znajdują się w stosunku odwrotnie proporcjonalnym do bogatych i różnorodnych przejawów kultury. Rzecz osobliwa — interesujemy się od dawna piśmiennictwem narodów romańskich, zbyt mało natomiast znamy dzieła inwencji Skandynawów, dziedziców tradycyj runicznych i wysokiej etyki. I tu zresztą kumuluje się zazwyczaj literaturę duńską z norweską i szwedzką, chociaż pokrewieństwo języka nie zawsze idzie w parze z poglądami na świat i życie. Słusznie określił te różnice wybitny znawca literatury duńskiej Axel Olrik. Podkreśla on w swoich studiach porównawczych, że cechą charakterystyczną piśmiennictwa norwesko - islandzkiego jest stosunek człowieka do potęg nadnaturalnych, żywe odbicie „Eddy" i licznych sag północnych. To też bohaterowie tych opowieści odznaczają się bądź gwałtownością, nieopanowaniem i skłonnością do fatalizmu, bądź jak w finlandzkiej „Kalewali", nadmiernym mistycyzmem. Duńczycy natomiast, pisze Olrik, są to ludzie mocni, zdecydowani i całkowicie wolni moralnie. Zapewne, psychologia Norwegów jest głębsza, za to postaci legendarne duńskie o wiele bardziej od tamtych zharmonizowane, przez co bardziej imponujące.

Spokój dochowy i refleksyjność, granicząca niekiedy z uporem — oto cechy podstawowe psychiki antycznych Duńczyków. Takimi byli milczący Uffus, pozornie apatyczny, budzący się jednak do czynu, gdy ojczyzna zawołała, Ralf Krake,

według którego najcenniejszą z cnót była — cierpliwość, wreszcie pozornie szalony Hamlet, idący pomimo to świadomie do celu. Wszyscy oni posiadają wspólną cechę charakteru — powolność sądu, pozbawioną pośpiechu i namiętności. Ich kunktatorstwo, dalekie jednakowoż od słabości, unikające szerokich gestów patosu, tak popularnego na zachodzie — daje pomimo to rezultaty wielkie i niezawodne.

Rzecz osobliwa, że nawet w epoce średniowiecza pieśmiennictwo duńskie nie poprzestaje na oscylowaniu dookoła spraw kościelnych. Już w XIII-tym stuleciu zarysowują się wyraźnie trzy równoległe dziedziny: historyczna, prawna i folklor.

Saxo Grammaticus, któremu Dania zawdzięcza swoje kroniki „Gesta Danorum", żył w epoce wspomnianej, kiedy państwo duńskie było wielką potęgą nad Bałtykiem. Należy żałować, że Saxo nie docenił należycie chronologii. Tym nie mniej zebrane przezeń legendy w ilości tak wielkiej i tak różnorodne w kolorycie stanowią do dzisiaj bezcenne źródła dla badacza. Dodajmy do tego świetną znajomość łaciny, w tym bowiem języku pisze Saxo, dzięki czemu „Gesta" jego sprawiają, jak klechdy attyckie, złudzenie współczesności. W tym samym czasie budzącą się w Danii świadomość narodową można zaobserwować w wydaniach praw i zwyczajów tego kraju. Znać tu oczywiście wpływy prawa kanonicznego, nie mniej z tych pozornie suchych paragrafów wyziera dla wnikliwego badacza wysoka etyka i poczucie sprawiedliwości mieszkańców. Musiały być snać te prawa mocne i — życiowe zarazem, skoro jedno z nich (prawo jutlandzkie Segra) przetrwało w ustawodawstwie duńskim do końca XVII-go stulecia.

Z tego okresu co prawa, datują się również pierwociny literatury w postaci wyrażanych już w języku własnym różnorodnych pieśni ludowych Powstały one, sądząc z języka i stylu około XIII-go stulecia, „najmłodsze" z nich sięgają w. XVII-go. Pieśni te różnią się swoim charakterem od analogicznych wypowiedzeń ludu niemieckiego i łotyszów, przypominają one raczej *„chansons"* trubadurów francuskich, gdyż treść ich epicką ozdabia zwykle refren, który śpiewano łącznie z tańcami najczęściej na łonie natury.

Nie należy jednak sądzić, aby duńska pieśń ludowa była wyłącznie dziełem inwencji tego ludu. Wiele z pośród nich napisali poeci średniowiecza należący, sądząc z tekstów, do sfer inteligencji ówczesnej. Folklor duński stanowi dzięki temu wyjątek w porównaniu z „dajną" łotewską i litewską. Badając go, łatwo poznać zainteresowania ówczesnych obywateli tego kraju. Są tam pieśni heroiczne, echa kultu bohaterów znanych nam z „Gesta Danorum", inne (a jest ich sporo) malują psychikę ludu duńskiego i jego wierzenia religijne, wreszcie najliczniejsze są strofy miłosne, które jak zaznaczyłem, grawitują wyraźnie w stronę *„chansons"* prowansalskic z tegoż okresu. Dużo w tych pieśniach epiki, ale wyrażają ją nie tyle opisy ile żywe dialogi. Nastrój ich przeważnie pogodny, daleki od tragizmu dajny łotewskiej, pełen godności i spokoju, będącego cechą charakterystyczną Skandynawów. Przechodziły one przez długi wiek z ust do ust, wydano je poraz pierwszy dopiero w XVI-tym stuleciu. Odt d stały się one źródłem natchnienia dla poetów z epoki renesansu duńskiego.

Jednakże ani ten okres, tak płodny na zachodzie, ani reformacja, za którą rychło podążyła cała Dania nie znalazły należytego odbicia w jej literaturze. Wiek szesnasty zaznaczył się jedynie w dziedzinie druków religijnych z Biblią Christiana III-go (z r. 1550) na czele.

Dopiero z pojawieniem się na widowni Holberga (1684 — 1754) można mówić o piśmiennictwie na miarę europejską. Przyszedł on na świat w Bergen, a zatem możnaby go uważać za Norwega. Ale unia polityczna duńsko-norweska i język duński, wspólny dla obu krajów, pozwalają nam zaliczyć Holberga do literatury duńskiej. Spędził on zresztą całe swoje życie w Kopenhadze, wykładał umnictwo piękne na Uniwersytecie stołecznym, co najważniejsze, czuł się Duńczykiem. We wszystkim, co napisał, miał Holberg na celu rozwój języka rodzinnego, z którego jak u nas w epoce makaronicznej, usuwał z całą bezwzględnością naleciałości francuskie. Znał swój kraj i śmiesznostki ówczesnego społeczeństwa. Przeciwko nim, jak Molier, rozpoczął już w latach młodzieńczych kampanię ostrej i dowcipnej zarazem satyry. To też na pierwszy plan w obfitej twórczości Holberga wysunęły się już naówczas jego komedie, wystawiane nie bez przeszkód na scenie teatru kopenhaskiego jeszcze za życia autora. Wyrażają one ostrą krytykę, często nawet satyrę na ówczesne stosunki społeczne. Wyśmiewa więc Holberg snobizm i panowanie francuszczyzny („Jan z Francji"), dyletantyzmu politycznego, fanfaronadę, fałszywą erudycję („Erasmus Montanus") i t. p. Arcydziełem scenicznym Holberga jest jego „Jeppe paa Bjerget", w którym wyśmiewa obskurantyzm chłopa duńskiego — rezultat jego niewoli. Rzecz osobliwa; że zagadnienie to, tak palące w epoce Holberga zostało przezeń podane „na wesoło" w formie satyrycznej. Porównywano twórczość wielkiego komediopisarza duńskiego z molierowską. Istnieją jednak między nimi zasadnicze różnice. Holberg nie pisał, jak jego francuski kolega, dla elity towarzyskiej najświetniejszej ze stolic Europy. Jego komedie ukazywały się w zakątku świata rzadko odwiedzanym przez turystów, przeznaczone były wyłącznie d l a s w o i c h. Dania nie posiadała naówczas tradycji literackich, jak Paryż. Może dlatego właśnie język Holberga i jego styl były bardziej dosadne i rubaszne. Brak w jego utworach tego wykwintu i poetyczności, jakie cechują Moliera, chociaż sens i cel twórczości u obu jest identyczny. Postaci sceniczne Holberga są bardziej prymitywne, podobne do obrazów Jana Steena, przez co może jeszcze komiczniejsze. Rzecz osobliwa — twórczość Holberga nie dała impulsu do powstania szkoły. Wkrótce zapanowały w Danii wszechwładne wpływy niemieckie i li tylko na marginesie ich wspomnieć można o niektórych epigonach Holberga z Ewaldem i Johanem Vesselem na czele.

Złoty wiek literatury duńskiej — to dopiero okres romantyzmu. Gloryfikację nowych poglądów na piękno wnosi O e h l e n s c h l ä g e r. Dzięki niemu ideałem człowieka staje się nietyle uczony, ile— szczery poeta. Poezja jest celem najwyższym, najszczytniejszym wpośród dążeń intelektualnych. I tu jednak znajdujemy odbicie wpływów germańskich, szczytnie reprezentowanych przez Herdera. Dla Oehlenschläger'a jednak ideał poety stoi o wiele wyżej: jest to człowiek prosty i bogaty duchowo

„radosne dziecię natury”, żyjące jedynie pięknem i intuicją poetycką, biorące szczęście razem z natchnieniem z jakiegoś cudownego objawienia...

Dość jest zagłębić się w nieziemskie „Bajki Alladyna”, aby zrozumieć, ile czystej poezji wniósł tym osobliwym utworem Oehlenschläger do literatury. Tu znajdujemy w całej pełni odbicie odrodzenia nordyckiego, które jak wszystko na północy przyszło w stosunku do Europy Zachodniej ze znacznym opóźnieniem. Ten sam, co tam kult dla czasów antycznych znajduje w Danii formy wyrazu jakże odmienne, ogarniające wszystkie dziedziny sztuki. Bo porównajmy tylko koncepcje twórcze Winkelmana z ekspresją Thorvaldsena i umieśćmy w pośrodku ich ideały antyczności Oehlenschlänger'a — ten sam temat, wyrażony przedziwnie za pomocą trzech różnych „języków” sztuki twórczej. Nadchodzi jednak dalszy etap twórczości. Czytając „Gry świętojańskie” i „Bogów północy” poznajemy z nich jeszcze bardziej pogłębionego, innego Oehlenschläger'a. Nie łatwo mu mogli sprostać następcy, których w przeciwstawieniu do epigonów Holberga było bardzo wielu. Jeśli idzie o dzieła oparte o życie antyczne, inwencja autora „Bogów” znalazła kontynuatorów w osobach Gruntwiga i Ingemanna. Bajka zato zarysowana poraz pierwszy w literaturze duńskiej na kartach „Alladyna”, znalazła swoją gloryfikację dopiero w pół wieku później u nieśmiertelnego Andersena.

W.—b.

ROZJEMCZYM GESTEM — III.

WCZORAJ I DZISIAJ

SYNTEZA historjozoficzna, którą dla dziejów cywilizacji europejskiej w poprzednim ciągu tej rozprawki podałem, siłą rzeczy stosuje się do każdego poszczególnie narodu europejskiego, ale z uwzględnieniem, oczywiście, różnych dla każdego warunków geopolitycznych. Łatwo jednak zauważyć, że warunki te stanowią naturalny zasięg podanej syntezy, powstanie bowiem i rozwój każdego narodu odbywa się w określonych granicach geograficznych, oraz w zetknięciu z życiem narodów sąsiednich.

Rdzeniem syntezy tu podanej jest psychologja szczepów i narodów wspomagana przez nowoczesną antropologję, w szczególności polską, jako twórczą i rzetelną. W stosunku do dziedzictwa starożytności grecko - rzymskiej psychologja z konieczności pozostanie jednostronna, dziedzictwo to bowiem jest wielkością przedmiotową, od życia swoich twórców oderwaną i, niejako, zastygłą. Natomiast w stosunku do żydostwa, poza częścią dziedzictwa starożytnego, które jest również wielkością już od życia oderwaną, psychologja syntezy tej musi być obustronna, to znaczy — musi tak samo wnikliwie oceniać ducha żydostwa, które współcześnie żyło i żyje, bezpośrednio wtrącając się do dziejów cywilizacji europejskiej, jak i ducha poszczególnych narodów europejskich.

Pragmatyką tej psychologji jest trafne poprowadzenie danego narodu w przyszłość, a to nietylko w zakresie życia gospodarczego i politycznego, od którego doraźnie może zależeć sam byt narodu, ale i w równej mierze w zakresie wszechstronnej kultury duchowej. W dobie panujących jeszcze w nowem pokoleniu nawyków myślenia materjalistycznego, czyli, bez osłonek mówiąc — myślenia żydowskiego, należy zawsze najdobitniej zaznaczać, że żadne poczynania gospodarcze i polityczne nie mogą się obyć bez zrozumienia i poruszenia motorów duchowych. W każdem, wogóle zastosowaniu życiowem obowiązuje maksyma, że trafna psychologja jest osią trafnej polityki.

Przechodząc do oceny następnych dwóch rozdziałów książki p. J. Mosdorfa — „Wczoraj i Jutro”, przedewszystkiem stwierdzić muszę, że ani do całości dziejów polskich (w drugim rozdziale), ani do teraźniejszości (w trzecim) autor w najmniejszej nawet mierze nie zastosował wniosków lub wskazań z owej syntezy cywilizacji europejskiej, o którą w pierwszym swoim rozdziale miał się postarać. Nie zastosował dlatego, że tej syntezy nie znalazł. Mógłby jednak, a nawet, według zapowiedzi swej, powinien był zastosować to przynajmniej, co mu się tam wydało czemś w rodzaju światłości, pomocnej do głębszego zrozumienia sensu dziejów polskich. Ale nie uczynił tego. Tym sposobem pierwszy rozdział pozostał sam dla siebie odrębnym i samotnym szkicem historycznym, całkowicie w książce niepotrzebnym, a nadomiar — chybionym. Nie odgrywa on nawet roli tła dla rozdziałów następnych.

Na wstępie rozdziału, który miał być syntezą dziejów Polski, autor zapowiada, że uwydatni w nim te fakty, „które są źródłem naszej dzisiejszej słabości”. Zamiast, tedy, odkryć same źródła faktów owych (faktów, które już były objawami słabości) zamiast uporządkować te źródła metodycznie w szereg przyczyn, z których powstały dzisiejsze (a i wczorajsze...) słabości narodu i państwa, zamiast na pierwszym planie je umieścić, jasno oświetlić i tylko je zobrazować odpowiednią ilością faktów historycznych, autor podaje strzępy mocno okrojonej historji Polski, ujętej w chaotyczne przedstawienie tych i owych faktów w ich zbyt drobiazgowem rozwinięciu historycznem. Tym sposobem na siedemdziesięciu stronicach rozdziału materjał historyczny, który w myśl założenia książki powinien był być tylko treściwem przypomnieniem dowodowem i obrazowem, do rozważań i sądów autora dołączonem, materjał ten rozrósł się do rozmiarów sprawy głównej, która, wspomagana żuzlem i popiołem wielosłowności autora, wprost przysypała i przysłoniła sam cel rozdziału, to jest — zamierzoną syntezę, a bodaj tylko jej cząstkę — owe właśnie „źródła naszej dzisiejszej słabości”...

W ciągu rozdziału autor daje kilka trafnych spostrzeżeń dotyczących stosunku szlachty do chłopstwa, do zagadnień Bałtyku, do kolonizacji ziem wschodnich i t. p. Spostrzeżenia te, powszechnie znane, należą jednak do skutków i objawów słabości polskiej, a nie do jej źródeł, któremi właśnie autor obiecywał się zająć. Tym spo-

sobem rozdział ten żadnej zapowiedzi autora nie spełnia i żadnego światła na teraźniejszość polską nie rzuca. A że z punktu widzenia metody wykładów historycznych żadnej nie posiada wartości, więc znowu dochodzimy do wniosku (my — czytelnicy), że i ten rozdział (tak samo jak pierwszy) niepotrzebnie został wydrukowany. Przez stosowane stale odwracanie przyczyn i skutków w zjawiskach historycznych autor w rozdziale tym raz jeszcze ujawnił swoje w gruncie rzeczy materjalistyczne nastawienie historjozoficzne. Wie on wprawdzie o istnieniu przyczyn rasowych i narodowych, czyli — psychologicznych, łaskawie przyznaje im nieco przypuszczalnego miejsca w życiu, ale nie zajmuje się nimi, a potęgi przyczynowe umieszcza w zjawiskach i warunkach zewnętrznych (przedmiotowych), które są przecie skutkami przyczyn duchowych. Autor nie widzi w narodzie podmiotu dziejów, lecz tylko przedmiot ich — bierny i bezwolny: typowa postawa materjalisty dziejowego.

Jako przykład z tego rozdziału podam pogląd autora na przyczyny fatalnej polityki szlacheckiej w stosunku do Bałtyku. Autor odnajduje główne przyczyny

„w wyjątkowo łatwych warunkach życiowych szlachty, której nic nie zmuszało do wysiłków, której widmo głodu nie pędziło na wyprawy zaborcze, ani na wędrówki morskie, jak niegdyś Wikingów skalistej Skandynawji, jak później Holendrów i Anglików".

Autorowi nie nasunęła się tu uwaga, dlaczego, naprzykład, ludu Eskimosów głody i chłody ich surowej i lodowej ojczyzny nie mogły wygnać na wyprawy zaborcze i morskie wędrówki? A takich i podobnych przykładów jest wiele. Zestawienie ich i porównanie prowadzi nie tylko do innego w tej sprawie poszczególnej wniosku logicznego, ale do wręcz przeciwnego w tem zagadnieniu stanowiska zasadniczego.

Nie głód gnał Wikingów, choć byli głodni, ale ich instynkt zaborczy i duch awanturniczy. Nie łatwość warunków życiowych kierowała bałtycką polityką szlachty polskiej, ale jej duch małostkowy, brak woli i wszystkie tym pokrewne wady charakteru. Kręcenie się we młynie faktów i warunków zewnętrznych daje tylko plewy osądów płytkich i popularnych. Należy, owszem, uwzględniać zjawiska i warunki zewnętrzne, ale w ich mierze właściwej, a więc — podrzędnej. Główną przyczynę dziejów i losów narodu stanowi wartość jego duchowa. Ten właśnie pogląd na historję zawiera w sobie synteza, przezemnie tu dla dziejów cywilizacji europejskiej przedstawiona. Sądzę, że jest ona prawdziwa, ale prócz prawdy niesie jeszcze wartość wychowawczą szczególnie dla współczesnej Polski cenną: nie pozwala na obarczanie świata zewnętrznego winami i przyczynami, ale zmusza do odpowiedzialności własnej i ogniem woli dusze hartuje.

Tak oto zamiast w świetlanych smugach wielkich reflektorów przeszłości autor książki omawianej w trzecim jej rozdziale wkracza w teraźniejszość polską całkiem po ciemku. Nie przeszkadza mu to jednak i z tropu nie zbija, bo ma on swoją latarkę kieszonkową, którą zręcznie się posługuje. Po naszkicowaniu epoki popowstaniowej głównym tematem tego rozdziału jest porównanie polityki dwóch obozów: narodowego i międzynarodowego. Autor zacieśnia je do stronnictw, ale nie inny jest tu grunt zestawienia. Kieszonkowa latarka nie wystarczyłaby, oczywiście, do oświetlenia takich dwóch, jakoby łańcuchów górskich, ale autor nawet nie próbuje tak wielkiego przedsięwzięcia. Jego ambicja ogranicza się tu do oświetlenia przebiegu taktyki dwóch stronnictw, w Polsce naówczas działających: Narodowej Demokracji i Polskiej Partji Socjalistycznej. A jego latarka doskonałe mu daje usługi tą szczególnie swoją właściwością, że może być w każdej chwili zgaszona i w każdej — znów zapalona.

Wierny swej roli urodzonego rozjemcy autor z dużą swobodą wstępuje na ścieżkę bojową, dzielącą dwa owe stronnictwa polityczne, i raz po raz świeci latarką swoją to na prawo, to znów na lewo, a kiedy trzeba — przezornie ją gasi. Tym cudownym w swojej prostocie sposobem to wreszcie osiąga, że oba biegunowo sprzeczne prądy polityczne niewątpliwemi wobec Polski zasługami obdarza. Czyni to w myśl odwiecznej zasady o świeczce i ogarku, przez elektryczność znakomicie udoskonalonej. Taką metodą urządzona iluminacja z jednej strony socjalizmu polskiego, a z drugiej— nacjonalizmu świadczy o artystycznem u autora poczuciu równowagi i symetrji. Rozjemczym gestem i dzięki latarce Aladyna czarne uczynił białem, białe atoli... białe... napozór samo (przez brak oświetlenia) zszarzało. Los tego rodzaju przedsięwzięć zawsze jest ten sam i z góry przewidziany: zawsze w wyniku djabłu świeczka przypada, a Bogu — ogarek.

Powinienem w tem miejscu rzeczowo omówić w tej sprawie wywody autora i w całej rozciągłości udowodnić zarzuty, które mu postawiłem. Ale, niestety, w tem właśnie miejscu wpadam w położenie, w jakiem analogicznie znalazł się z powodu żydów Cycero w znanej mowie swojej *„Pro Flacco"*. Analogicznie też do jego słów („Będę mówił półgłosem, żeby mnie tylko sędziowie słyszeli") muszę i ja tu uprzedzić, że poprzestanę na jednej zaledwie uwadze, „albowiem (słowa Cycerona) nie mam najmniejszej ochoty ułatwiać zadania"... sferom, powołanym do psucia rozmów między Polakami. Oczywiście, obawy te dotyczą tylko strony Cyceronów, a nie — Leljuszów.

Autor „Wczoraj i Jutro", omawiając stanowisko Narodowej Demokracji w czasie wojny światowej, tak pisze:

„Opowiedzenie się po stronie Rosji przekreślało jakąkolwiek myśl o przygotowaniu sił zbrojnych, mimo że podczas wojny istnienie kadr armji polskiej znaczyło więcej, niż, zabiegi dyplomatyczne; wystarczy wspomnieć rolę legjonów Dąbrowskiego, krwawiących na pozór bezpłodnie w walkach o Rzym lub na San Domingo. Z łona obozu wszechpolskiego nie wyszedł — bo i nie mógł wyjść — żaden wybitny wojskowy. Jedyny człowiek o wojskowym temperamencie i zainteresowaniach, Balicki, nie znalazł dla nich pola aż do swej śmierci w r. 1916; pozostali działacze byli i pozostali typowymi cywilami, co odbiło się szczególnie na polityce obozu narodowego w dziesięcioleciu od 1917 r. poczynając. Tu leży źródło tragicznego, niespotykanego nigdzie zjawiska rozdziału między armją a nacjonalizmem, rozdziału, który dziś dopiero zaczyna się zabliźniać".

Autorowi nawet nie mignęło przed oczami zapytanie, że może to strona przeciwna swoją pozytywną w określonym kierunku działalnością nastroiła wiarę przeciw nacjonalizmowi... A zresztą, ktoż może zaręczyć? A może mignęło, tylko że autor właśnie w tej chwili sam dla siebie zagasił

swoją latarkę. W przeciwnym razie spostrzegłby chyba to przynajmniej, że cywilizm obozu narodowego nigdy i nigdzie nie mógłby wywołać „tragicznego rozdziału” między armją a nacjonalizmem, bo tych spraw żaden związek przyczynowy nie łączy. Trudno odgadnąć, co tu się zdarzyło z logiką autora. Wiadomo tylko, że, w wyniku naocznym, jednem zgaszeniem latarki Aladyna autor tamtą stronę wybielił, a tę — przyczernił, nie dbając już o to, że siebie przy tej sposobności... ośmieszył.

Widocznie w związku z takiem postawieniem sprawy autor poczuł się w obowiązku odmówienia błysku cudownej swej latarki dwóm faktom następującym: Po pierwsze, pominął prawie zupełnem milczeniem powstanie pod egidą obozu narodowego armji polskiej we Francji, armji liczącej 70.000 żołnierza. Wprawdzie bąknął o tem mimochodem, ale tak zgrabnie, że z owych paru słów czytelnik nie może wywnioskować żadnej łączności pomiędzy armją błękitną a działalnością polskiego obozu narodowego. Po drugie, autor głuchem milczeniem pokrył fakt, że staraniom obozu narodowego o wydzielenie żołnierzy polskich z armji rosyjskiej w osobne formacje polskie ostro przeciwstawił się obóz międzynarodowy t. j. socjaliści polscy i „liberałowie” polscy (typu Lednickiego) poparci przez bolszewików i ówczesny rząd rosyjski. Na obcym gruncie rosyjskim polski obóz narodowy musiał przegrać w starciu z taką potęgą międzynarodową. Polska Partja Socjalistyczna zwyciężyła, a jej zwycięstwo pozbawiło odradzające się państwo polskie conajmniej półmiljonowej armji najlepszym duchem ożywionej, która by w krótkim czasie gotowa była do wojny przeciw państwom centralnym. (Przytoczę tu dla ścisłości słowa W. Sobieskiego z jego „Dziejów Polski”: „W armji rosyjskiej w owym czasie było pół miljona żołnierzy polskich, 119 generałów, 20.000 oficerów, a nadto w Rosji było 100.000 Polaków jeńców wojennych z zaboru pruskiego i austryjackiego”). Autor „Wczoraj i Jutro” wyraźnie mówi, że „podczas wojny istnienie kadr armji polskiej znaczyło więcej, niż zabiegi dyplomatyczne”, a zatem dobrze rozumie, jak ważnego dla Polski zdarzenia we Francji i jak złowrogiego dla Polski zdarzenia w Rosji latarką swoją n i e o ś w i e t l i ł.

Zapewne: w całości książki omawianej zasadniczym błędem jest brak syntezy, tak dla przedstawienia dziejów Europy i Polski—zabójczy. Tu jednak w sprawach ostatniego książki tej rozdziału, o których mówimy „tuż przy wschodach Aureljańskich”, a w szczególności w sprawie owych armij polskich dla sprawiedliwego stanowiska autora (nawet bez jakiejkolwiek syntezy) wystarczyłaby poprostu odrobina... rzetelności.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

ESCHATOLOGIA D. MEREŻKOWSKIEGO

I JEGO „JEZUS NIEZNANY“

I

„SŁUCHAJ, nie mów nigdy: „Nie ma j u ż bogów!” ale raczej „J e s z c z e nie ma bogów”. Bogowie nie istnieją, ale będą istnieli, nie w niebiosach, ale tu na ziemi. My wszyscy staniemy się bogami, tylko do tego potrzeba wielkiej odwagi, jakiej świat nie miał jeszcze dotychczas, nawet bohater Macedoński!” [1]) Dał Mereżkowski w powieści o „Julianie Apostacie” gloryfikację człowieka w duchu i stylu nietzscheańskim. Duch ten odezwie się jeszcze i w „Leonardzie da Vinci”, którego głównym zadaniem — przezwyciężenie mistycyzmu. Uczucie będzie Mereżkowski podobnie jak W. Wundt uważał za prekursora i pioniera poznania i prawdy. Wzrostowi subiektywnemu człowieka towarzyszy jego rozwój obiektywny. Geniusze według Mereżkowskiego to meteory, które muszą się spalać, aby oświecać swoje stulecie. Ludzkości przeznaczeniem jest zaprowadzenie Królestwa Bożego na ziemi. W tym celu potrzeba, aby ludzkość poczuła się jednością. Wojny nie dzielą i rozbijają ludzkości lecz ją łączą i cementują w całość tworzywem najcenniejszym i spoidłem, jakim jest krew. Przez krew, przez męki nadludzkie dokonuje się proces uświadamiania się ludzkości jako jednej rodziny Bożej. Napoleon według Mereżkowskiego był ostatnią reinkarnacją uniwersalnej jedności. Napoleon był dla niego człowiekiem z Atlantydy. Mówi o sobie: „Wszyscy mnie kochali i wszyscy nienawidzili”. Ale nikt mu nigdy nie współczuł, a tego, być może, potrzebował on najbardziej, bo, jakkolwiek brzmi to dziwnie, przy całej swej wielkości był biedny”. [2]) Los go wezwał do wypełnienia niewiadomego rozkazu (Puszkin).

W Napoleonie-Człowieku żyje największa myśl człowieczeństwa: pokój światowy, bratni związek wszystkich narodów, Królestwo Boże. Pełnię człowieczeństwa osiąga wtedy, gdy rozum traci. W słabości wielkiego jest wielkość największa. „Serce jego jest kielichem, mieszczącym w sobie mieszaninę: kropelka jakiejś krwi ofiarnej, niepodobnej jeszcze do krwi z Golgoty, wpadła do jakiejś ambrozji, która jeszcze nie jest olimpijską, i oto mieszanina zakipiała dzikim fermentem, stało się to, co nazywamy geniuszem Napoleona”. [3])

II

Mereżkowski podobnie jak Bierdiajew wierzy, że jesteśmy ludźmi końca — i dlatego bliżsi Ewangelii niż sądzimy. Rosyjscy komuniści — malutkie diabły, służą dziś Chrystusowi przez to, że zabraniają ludziom Ewangelii, niszcząc ją. Ludzie jednak Ewangelii nie zapomną. Przeczytają ją ze zdziwieniem i przerażeniem, i wtedy nastąpi wybuch miłości ku Chrystusowi. Zacznie się — od Rosji. Eschatologia Mereżkowskiego i Bierdiajewa podobna do ideologii naszych mesjanistów na emigracji, a zwłaszcza Słowackiego, który posunął

---

[1]) Julian Apostata. Przeł. J. Czekalski. 1901. Str. 362.

[2]) D. S. Mereżkowski. Napoleon. Warszawa. Tłom. Paweł Hulka-Laskowski (1930). Str. 258—259.

[3]) Tamże, str. 265.

się najdalej, gdyż zagadnienie Chrystologiczne uczynił osią rozwojową całego Kosmosu. Jak w wizji naszych romantyków-mesjanistów Polska była ofiarą dla zbawienia całej ludzkości, tak dla naszych mesjanistów taką ofiarą dla dobra ludzkości jest — Rosja. Komunizm dla Bierdiajewa to punkt kulminacyjny rozwoju świata, rozwoju humanizmu, zaprzeczenie idei Chrystusowej, królującej w średniowieczu, to w kole dziejów punkt najbardziej odskoczny od idei Jezusa, potem możliwy jest tylko zwrot ku Chrystusowi. Najwyższe natężenie zła staje się zarazem przesileniem i dobro musi zakrólować, Królestwo Boże na ziemi. [4])

Ludzkość stanęła obecnie na rozdrożu — iść za Jezusem czy Antychrystem. „A świat mnie nie poznał" — mimo dwutysiącletniego wyznawania Ewangelii Jezus pozostaje nieznany. Nie tylko dlatego, że czytając dzisiaj Ewangelię czytamy przeważnie słowa tylko nie przeżywając treści Boskiej, nie tylko dlatego, że brak nam doświadczenia religijnego, ale że w swym zmaterializowaniu, w swym braniu środków za cel, odbiegliśmy od zasad Chrystusowych. Między światem a ewangelią istnieje antynomia: świat i ta księga istnieć wespół nie mogą. Jezusowi Nieznanemu poświęcił najdojrzalsze swe dzieło Mereżkowski, uważając słusznie zagadnienie Chrystologiczne za najistotniejszą sprawę świata. [5])

III

Dziejów Jezusa Nieznanego szuka autor nie tylko w Ewangeliach Synoptycznych i św. Jana, ale ponadto w apokryfach i agrafach. Ciało Ewangelii trzeba rozkuć — jak powiada — z pancerza Kanonu, oblicze Pana — z kościelnych szat — a jest to rzecz nieludzko trudna. Agrafa to wrzący metal wobec zastygłego złota Pisma. Te agrafa z wynalezisk egipskich. I cała ewangelia była takim roztopionym metalem, zanim została odlana w formie: stała się „Pismem". Aby zrozumieć, trzeba się najpierw zdziwić. Do ewangelii podchodzi autor jak do najdelikatniejszego kwiatu z dbałością, aby pyłku zeń nie zdmuchnąć. Agrafa to są źródła najbardziej orzeźwiające, z których nikt nie pił. A mimo to straszne, jak gdyby w ciemności On sam szeptał nam do ucha, On, który zawsze jest z nami aż do końca wieków i dlatego nie milczy, ale mówi. I mówić będzie wciąż, mówić będzie przez usta wyznawców i wrogów — przez usta Papiniego, Grandmaisona, Loisy'ego, Wellhausena i wielu innych. Zagadnienie to nie da ludziom nigdy spokoju, budzić będzie wciąż ludzi z drzemki duchowej. W całym człowieczeństwie Jego dźwięczy głos: „Czyż nie znaczy to, że jedyny Kościół Powszechny, niewidoczny — większy jest niż się nam wydaje, może niż — wydaje się samemu sobie?". [6])

IV

Prócz znanych zwierciadeł ewangelicznych dla Chrystusa jest jeszcze jedno, najgłębsze według autora, tajemnicze — w Agrafach, „Niezwykłe" o Jezusie poznajemy conajmniej z całego roku, a może nawet z dwóch, trzech lat Jego życia. Napisać jednak całego żywota Jezusa nie możemy z powodu braku wewnętrznego doświadczenia. „Oszukujemy siebie i innych opowiadając o tym Żywocie, jak podróżnicy o kraju, w którym nigdy nie byli". [7]) Całe doświadczenie historyczne jest bezsilne wobec życia Chrystusa, którego opisać się nie da. Dla lepszego poznania żywota Chrystusa trzeba żyć lepiej. Każdy z nas czyta Ewangelię po swojemu, a we wszystkich jest jedna Ewangelia, jak we wszystkich kroplach rosy jedno jest słońce.

Są tematy, do których nie można zbliżać się bez najwyższej pokory, lęku, strachu; takim tematem to tajemnica Zwiastowania. Mereżkowski wypruwa z zamierzchłej przeszłości wszystkie choćby najdelikatniejsze nitki, które układały się przez kilka dziesiątków lat na tkaninę Posłannictwa Jezusowego. W życiu Jezusa widzi wszystko paradoksalne, zdumiewające, przerażające — i to właśnie uważa za niezbity dowód Jego Boskości. Racjonalizmowi szkoły niemieckiej i francuskiej przeciwstawia swój ekstatyzm i swoje doświadczenie religijne. (Dziw tylko, że z całej bogatej, literatury naukowej francuskiej ani razu nie wymienia czołowego nazwiska A. Loisy'ego). Między światem a Ewangelią przepaścista panuje antynomia. Świat ją połknął i walczy z nią jak chory z lekarstwem, aby ją przyjąć w siebie albo pozbyć się na zawsze. Zmaga się tak już 20 wieków.

V

Łatwo było autorowi rozprawić się z obłędem wieku XIX, mitomanią odnośnie do osoby Jezusa. (Strauss, Bauer i in.) tak samo też nie trudno z doketyzmem, rozpoczynającym się od Marcjona w II wieku. W doketyzmie widzi próbę wtórnego, najgorszego zabójstwa Chrystusa, uważając Go za przywidzenie, *umbra*, *phantazma*. Jest nie to, co jest, ale co się wydaje. Przypomina Papiasa najbliższego dla nas uczuciom Pańskim, autora „Tłómaczenia słów Pańskich" (5 ks.), gdzie mogło być wiele nieznanych nam słów nie mniej autentycznych niż w Ewangeliach. Marek, Mateusz, Łukasz to synoptycy. Marek widzi Jezusa, Mateusz słyszy. Najlepiej ze wszystkich synoptyków znamy Łukasza; to najczystszy Grek bez kropli krwi żydowskiej, najbardziej helleński.

Największa bieda z Janem, o którego spór wybuchnął na nowo w 16 i 17 w. i trwa dotąd. Spór o Jana to „największa zagadka chrześcijańska", a może także zagadka samego Chrystusa. Jego ewangelia to najbardziej subtelna z Ewangelii. Napisał ją nie Jan Apostoł — przemawiają za tym dowody wewnętrzne. Jan domyśla się słuszniej od synoptyków, czego Jezus chciał. Tu znajduje się najbardziej autentyczna Jego wola. Synoptycy niedostatecznie odsłaniają Człowieka w Bogu. Cała pełnia chrześcijaństwa, pleroma, znajduje się tylko w IV Ewangelii. To, że Jezus inaczej mówi u Synoptyków a inaczej u Jana, wyzyskują sceptycy. A tymczasem jedyność, niewspółmierność z żadnymi słowami ludzkimi jest wspólną cechą słów Pańskich u Jana i u Synoptyków. Trzeba mieć słuch muzyczny. Czwartą Ewan-

[4]) M. Bierdiajew: Nowe Średniowiecze Warszawa 1936 „Rój". Przekład Mariana Reutta.

[5]) D. Mereżkowski: Jezus Nieznany. Przełożył J. Horzelski. „Płomień" Warszawa 1937. Str. 384.

[6]) Jezus Nieznany, str. 102.

[7]) Tamże, str. 106.

gelię cechuje balsamiczna płynność długich jakby „helleńskich” mów w przeciwieństwie do słonej suchości mów zwięzłych u Synoptyków.

VI

Autor używa barw do wypowiedzenia swych myśli, mówi zawsze w najwyższym uniesieniu, niemal w ekstazie o Jezusie. Inna to jednak ekstaza, chrześcijańska, niż dionizyjska np. nietzscheańska. Tamta cicha — ta głośna. Wyczuwa zapach ziemi palestyńskiej w Piśmie Świętym.

Wspaniale przedstawia wzrost duchowy Jezusa w II cz. Księgi, gdy się wznosił z ciemnych głębin tego, co my nazywamy „podświadomością” (*Conscience subluminale*). Tak między innymi interpretuje także ewangelię św. Jana Maine de Biran w swoich pismach. Ciemną noc nieznanego żywota Jezusa Nieznanego przecina opowiadanie o 12-letnim Młodzieńcu w Kościele. Głębokie słowa poświęca autor scenie kuszenia Jezusa.

Ewangelista Jan uchwycił znakomicie „kolor czasu”, światłocień, jak Leonardo da Vinci i Rembrandt, kolor tęsknoty Pańskiej — różowo szary. Od Nazaretu rozpoczyna się Droga Krwi. Między mieczem — dążenie do wyzwolenia Izraela drogą powstania — a krzyżem przewija się czerwona, wiążąca nić, dopiero na krzyżu przez Jezusa rozerwana. Rodzi się w Nim poczucie misji. W sercu Jego zetrą się dwie największe siły, jakie kiedykolwiek ścierały się w sercu ludzkim: miłość do Boga i miłość do świata. Jedno z dwojga ma wybrać. Już wybrał. Chrzest początek — krzyż koniec. Ten punkt „Jezus ochrzcił się”, jest największym wydarzeniem w historii świata, to punkt przesilenia się nie tylko w życiu ludzkości ale i wszechświata. Znowu podobnie jak u Słowackiego ma powstać lepszy wszechświat, Królestwo Boże. Aby się tak świat mógł ukształtować, konieczne są kataklizmy i te kataklizmy ludzkość przeżywa, a są nimi wojny. Przeżyła go za dni Napoleona, przeżyła go za dni wojny światowej, która ogromnie ludzkość zbliżyła do siebie, przeżywa go dzisiaj w dobie walki z komunizmem. My u końca świata, względnie u „przedświtu”. Pierwszy koniec zewnętrzny, ognisto-wodny wybuch wulkaniczny: Atlantyda, drugi koniec to wewnętrzny, ludzki, krwawo-ognisty wybuch wulkaniczny: Wojna (str. 217).

Esseńczycy to zagubione między Chrystusem a istniejącym przed Nim „chrześcijaństwem” — ogniwo, o czym głęboko autor jest przekonany. Atlantyda to Królestwo Ojca; druga epoka, nasza, zbawiana czy ginąca — to Królestwo Syna; trzecia, po nas, zbawiona — to Królestwo Ducha-Matki. Tym epokom odpowiadają trzy gołębice: pierwsza nad Chaosem, druga nad Potopem i trzecia nad wodami Chrztu. Podobny podział trychotomistyczny dziejów ludzkości widzimy u Krasińskiego i Cieszkowskiego.

Ostatnie rozdziały poświęca autor twarzy Jezusa. Znowu tu antynomia wystąpi: jest „jak wszyscy”, jest zarazem „jak nikt”, i w tej antynomiczności tkwi zarazem niewyobrażalność Oblicza Pańskiego. „Rzec można, że to jest jedyna twarz, którą ludzkość ujrzała i zapamiętała i będzie pamiętać - widzieć zawsze, wszystkie inne są przywidzeniowe, wszystkie — przejściowe cienie, ta jedna jest słońce” (str. 336).

Z niecierpliwością oczekujemy drugiej części dzieła Mereżkowskiego, w której opisze żywot znany i mękę oraz zmartwychwstanie Chrystusa Pana. Prawdziwy mamy urodzaj na żywoty Jezusa, że wymienię tylko Grandmaisona, Papiniego, Mauriaca, a u nas arcyb. ks. Teodorowicza.

JAN ŚWIERZOWICZ

POETA BEZIMIENNY Z XI WIEKU:
(Wippon z Burgundii?)

SEKWENCJA WIELKANOCNA

Victimae Paschali laudes...

Sławmy o wierni ofiarnie
Ofiarę Wielkanocną!
Baranek — zbawił owczarnię!
Bóg znów do serca nas garnie!
Chrystus grzesznym podał dłoń pomocną!

Śmierć i Życie się zwarły
w boju nad podziwy!
Wódz Życia umarły
władnie — Żywy!...

Powiedz nam, Maryja:
coś na drodze widziała?
„Widziałam Grób Pana żywego
i chwałę Zmartwychwstającego!”

Powiedz nam Maryja:
coś na drodze widziała?
„Anioły — cudu zwiastuny —
i Odzież — i Całuny!”

Powiedz nam, Maryja:
coś na drodze widziała?
„Powstał Pan, Dawca nadziei!
Wyprzedzi nas do Galilei!”

Prawdomównej Maryi
będziemy wierzyć raczej,
niż Żydów rzeszy
kłamliwej, prostaczej!

Wiemy, że Chrystus prawdziwie
zmartwychwstał z śmierci i bólu...
O bądź-że nam miłościw,
Zwycięzco — Królu!

Przełożył
JÓZEF BIRKENMAJER

Wydawnictwo „MYŚLI NARODOWEJ“ w dniu Zmartwychwstania Pańskiego składa czytelnikom, przyjaciołom i współpracownikom pisma życzenia

WESOŁEGO ALLELUJA!

NA WIDOWNI

Proces St. Cywińskiego i Al. Zwierzyńskiego.

WINNIŚMY czytelnikom informację o zdarzeniu wileńskiem. Ponieważ nie zdołaliśmy jej podać i oświetlić w swoim czasie, przytoczymy ściśle za „Warsz. Dziennikiem Narodowym” przebieg procesu, który się odbył w warszawskim Sądzie Okręgowym w d. 9 kwietnia rb. Rzeczony „Dzien. Narod.” z d. 10.IV nr 99 takie zamieścił sprawozdanie:

*

W sobotę rano rozpoczął się w Sądzie Okręgowym w Warszawie proces docenta U. S. B., Stanisława Cywińskiego i red. „Dziennika Wileńskiego”, Aleksandra Zwierzyńskiego, b. wicemarszałka Sejmu. Obaj oskarżeni są z art. 152 k. k. „o zelżenie narodu polskiego”, w związku z artykułem dr. St. Cywińskiego, zamieszczonym w „Dzienniku Wileńskim”, a stanowiącym recenzję książki Melchiora Wańkowicza „COP”.

Rozprawie przewodniczy wiceprezes S. O., sędzia Przybyłowski, przy udziale sędziów Dyzmańskiego i Danielewicza. Oskarża prok. Żeleński. Bronią doc. Cywińskiego adw. Glazer z Warszawy i adw. Z. Jasiński z Wilna, red. A. Zwierzyńskiego — adw. Engiel z Wilna, adw. L. Nowodworski z Warszawy i adw. Jan Pieracki ze Lwowa. Doc. Cywiński odpowiada z więzienia. Przyprowadziło go na salę rozpraw 3 posterunkowych. Doc. Cywiński ubrany jest w czarny garnitur, z pod okularów widać obandażowane oko, nie dosłyszy. W ruchach jego widać znaczny wysiłek, z trudem powstaje z miejsca.

Na sali rozpraw zgromadziła się licznie publiczność, kilku wyższych oficerów z Wilna. Miejsca za stołem sędziowskim zajęli prokuratorzy, sędziowie, aplikanci. Ława prasowa przepełniona.

O godz. 9,35 rozpoczyna się rozprawa. Adw. Glazer składa na wstępie wnioski, w których prosi o powołanie świadków: M. Zdziechowskiego, prof. USB., St. Trzeciaka szefa O. Z. N. na woj. nowogródzkie, St. Pigonia — prof. U. J., Stan. Kościałkowskiego — prof. USB., Stan. Mackiewicza — red. „Słowa” i p. B. Czyńską. Mec. Engiel, obrońca red. A. Zwierzyńskiego, wnosi o przesłuchanie St. Jasiukowicza b. posła na Sejm i red. W. Giełżyńskiego — wiceprezesa Związku Syndykatów Dziennikarzy Polskich, oraz postawił wniosek obrony o przesłuchanie świadków: W. Bańkowskiego, L. Chomańskiego, red. Żarnowskiego, p. Czernichowskiego — starosty grodzkiego z Wilna, który to wniosek został przez sąd na posiedzeniu niejawnym odrzucony. Wnioskodawcy oświadczyli, że świadkowie ci są niezbędni, aby ustalić charakter i działalność oskarżonych, oraz fakt, że red. Zwierzyński dowiedział się o tym, iż inkryminowany artykuł zniesławił marsz. Piłsudskiego — dopiero po wyjściu z więzienia. Prokurator zaoponował przeciwko powołaniu i przesłuchaniu powołanych świadków.

Sąd po naradzie wszystkie wnioski obrony odrzucił i przystąpił do odczytania aktu oskarżenia:

„Prokuratura Sądu Okręgowego w Wilnie oskarża Stanisława Cywińskiego, urodzonego w 1887 r. w Mohylowie, niekaranego, aresztowanego od dnia 15 lutego, i Aleksandra Zwierzyńskiego, urodzonego w 1880 r., niekaranego, aresztowanego od dnia 15 lutego, obu, o to, że dnia 30 stycznia w Wilnie w publicznie rozpowszechnionym nakładzie numeru 29 „Dziennika Wileńskiego” dopuścili się zelżenia narodu polskiego: Stanisław Cywiński przez użycie w treści artykułu pt. „COP” obelżywego wyrazu dla określenia osoby Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego, i Aleksander Zwierzyński przez zamieszczenie artykułu w „Dzienniku Wileńskim”.

Uzasadnienie: Dnia 30 stycznia w nr. 29 „Dziennika Wileńskiego”, którego wydawcą jest Aleksander Zwierzyński, zamieszczono artykuł pt. „C.O.P.”, pióra Stanisława Cywińskiego, w treści którego autor poddając krytyce książkę Melchiora Wańkowicza o Centralnym Okręgu Przemysłowym, użył m. in. następującego zwrotu: „Wańkowicz daje szereg żywych obrazków z tego, co widział, no i czego nie widział, ale co podobno ma powstać w czasie najbliższym w tym sercu Polski, zadając kłam słowom pewnego kabotyna, który mawiał o Polsce, że jest jak obwarzanek: tylko to coś warte, co jest po brzegach, a w środku pustka (cytata na stronicy 20-ej książki)”.

Powołana cytata zaczerpnięta została istotnie z książki Melchiora Wańkowicza, gdzie powyższe słowa przytoczone są jako słowa wypowiedziane przez Marszałka Józefa Piłsudskiego. Nakład numeru z dnia 30 stycznia „Dziennika Wileńskiego” uległ rozpowszechnieniu. Oskarżeni, przesłuchani w oskarżeniu, do winy się nie przyznali i wyjaśnili: Stanisław Cywiński, że opracowując artykuł pt. „C. O. P.”, przypuszczał, że autorem cytowanych przez niego słów jest publicysta Stanisław Mackiewicz, nie zaś Marszałek Polski J. Piłsudski. Aleksander Zwierzyński, że kierując do druku artykuł St. Cywińskiego pt. „C. O. P.”, był przeświadczony, iż autor podał w przytoczonym urywku słowa Stanisława Mackiewicza.

Przewodniczący: — Oskarżony przyznaje się do czynu zarzucanego mu w akcie oskarżenia? Oskarżony: — Nie.

Doc. Cywiński składa długie wyjaśnienia, dotyczące napisania inkryminowanego artykułu i oświadcza, że był przekonany, iż autorem cytatu „Polska jest jak obwarzanek”.... jest red. St. Mackiewicz. Miał on bowiem kiedyś napisać, że Galicja dała Polsce żołnierzy, Wielkopolska — pracę, Wileńszczyzna — rozmach, a ziemia centralna — Messalkę i Kawecką”. Pisząc recenzję, mówi osk. Cywiński, nie miałem książki Wańkowicza „C. O. P.” pod ręką, pisałem z pamięci i byłem głęboko przekonany, że cytat zawarty w moim artykule jest cytatem z Mackiewicza. Nie wiedziałem, aby słów tych użył kiedykolwiek marsz. Piłsudski, chyba w jakiejś rozmowie towarzyskiej. Następnie doc. Cywiński wyjaśnia na przykładach z literatury, że słowo „kabotyn“ nie jest obraźliwe, że jest równoznaczne ze słowem „filister“ i „snob“. Prok. Żeleński stawia oskarżonemu szereg pytań, któremi ustala, że doc. Cywiński był współpracownikiem „Dz. Wil.“ i kilku innych pism i tygodników literackich.

Prok.: Czy oskarżony wyraził życzenie, kiedy ma być wydrukowany artykuł?

— Tak. Gdyż p. Wańkowicz był w Wilnie i chciałem, aby się wówczas artykuł mój o jego książce ukazał w druku.

Adw. Glazer: Czy oskarżony wiedział, co było przyczyną tego krytycznego dnia? Osk.. — Sądziłem, że niepodobało się komuś to, co napisałem o poniewieraniu człowieka. Adw.: — Od kogo dowiedział się osk. że to są słowa marsz. Piłsudskiego? Osk.: — Od prokuratora.

Adw. Engiel: — Czy pan przy składaniu artykułu porozumiewał się z red. Zwierzyńskim? — Nie. Tylko w dn.

29 stycznia, gdy prosiłem aby ukazał się w numerze na dzień 31 stycznia.

Przew. zwraca się do oskarżonego red. A. Zwierzyńskiego, czy pan przyznaje się do winy? — Nie. Artykuł doc. Cywińskiego — „C. O. P." zastałem wraz z innemi jego artykułami w teczce redakcyjnej. Przew.: — Czy pana nic nie zaskoczyło w tym artykule? — Owszem, zwróciłem uwagę na koniec artykułu i na cytat. Sądziłem jednak, że to cytat z Mackiewicza. Przew.: — Czy pan nie miał absolutnie żadnych wątpliwości? — Nie.

Red. Zwierzyński wyjaśnia dalej, że po ukazaniu się tego artykułu nie było reakcji ani ze strony cenzury, prasy, ani społeczeństwa. Dopiero po wyjściu z więzienia dowiedział się oskarżony, że M. Wańkowicz umieścił w tygodniku „Naród i Państwo" artykuł (skonfiskowany), w którym oświadczył, że autorem cytatu jest Marszałek Piłsudski. To zaś spowodowało znane wypadki w lokalu „Dziennika Wileńskiego".

Prok.: — Przeglądając ten artykuł, czy pan uznał, że ma on cechy obrazy, nie wchodząc w to, kogo on obraża? — Zwróciło moją uwagę zakończenie artykułu oraz cytat inkryminowany. Prok.: — Czy pan podziela zdanie oskarżonego? Osk.: — Nie. To jest zwrot bardzo ostry. Jednakże w polemice, jaka toczyła się między doc. Cywińskim a red. Mackiewiczem w słowach nie przebierano. Nadto doc. Cywiński cieszył się w „Dz. Wil." — tak, jak literat — stały współpracownik i w innych pismach, specjalnemi przywilejami. Prok.: — Czy oskarżony Cywiński należał do stałych współpracowników? Osk.: — Tak. Byłem stałym recenzentem książek. Osk.: — Czy pisał też recenzje z książek politycznych? Osk.: Tak, ale bardzo rzadko.

Prok.: — Czy panu główna myśl artykułu odpowiadała? Osk.: — Co p. prok. rozumie przez to? Prok.: — Treść recenzji, która mówi o C. O. P. Osk.: — Mniej więcej tak. Prok.: — Pan Kownacki był red. „Dz. Wileńskiego"? Osk.: — Stałym współpracownikiem nie był. Pisał od czasu do czasu. Prok.: — Ale czy był stałym współpracownikiem? Osk.: Był przez bardzo krótki czas. Prok.: — A w czasie, kiedy zmarł Marsz. Piłsudski? Osk.: — Nie. Zresztą ja nie byłem wówczas w Wilnie.

Adw. Engiel: — Kiedy pan przybył do Wilna? Osk.: — W 1907 r. Adw.: I od tego czasu pan był związany z Wilnem? Osk.: Tak. Adw.: — Czy pan należał do jakichś organizacyj politycznych? Osk.: Należałem do Polskiego Komitetu Narodowego i do Komisji Koedukacyjnej. Adw.: — To była organizacja jawna? — Półjawna. — Jakie było zadanie Komitetu Pol. na Wileńszczyźnie? — Wobec władz okupacyjnych — filantropijna. a wobec społeczeństwa polskiego — szerzenia ducha polskiego. Adw.: — Kiedy były pierwsze wybory do rady miejskiej w Wilnie? — W 1919 roku. — Pod jakimi hasłami? — Politycznymi, tzn. pod hasłami przyłączenia ziemi wileńskiej do Polski. — Pan był radnym miejskim? — Tak jest. Byłem radnym pierwszej rady miejskiej i brałem czynny udział w jej organizacji. Adw.: Czy pan należał do sejmu wileńskiego? — Byłem członkiem komisji, która uchwaliła przyłączenie Wileńszczyzny do Polski. — Przemawiał pan w sejmie? — Naturalnie. — Czy wchodził pan w skład sejmu ustawodawczego? — Byłem jednym z delegatów sejmu wileńskiego, którzy weszli do sejmu ustawodawczego. Adw.: — Czy pan rozmawiał z doc. Cywińskim po wypadku krytycznym? — Byłem w takim stanie zdrowia...

Przewodniczący przerywa. — Sądzę, że rozmawiałem. Adw. Engiel: — W jakim stanie był doc. Cywiński? — W strasznym... był bardzo zdenerwowany.

W następnych zeznaniach mec. Nowodworski wyjaśnił raz jeszcze sprawę p. red. Obsta, o której wypytywał się p. prokurator.

Prokurator: — Czy „Dz. Wil." korzystał z usług innych publicystów? — Tak. — A jaki był stosunek „Dz. Wil." do innych pism Str. Narodowego? Czy były stałe stosunki z innemi redakcjami? — Często korzystaliśmy z artykułów „Kuriera Poznańskiego", „Warsz. Dziennika Narodowego". — A z mutacyj? — Przez pewien czas „Dz. Wil". był mutacją „Warsz. Dzien. Narodowego". Prok.: — A przedtem z „Gazety Warszawskiej"? — Tak. Prok.: — Ustalamy zatem, że „Dz. Wil". korzystał z „Gazety Warszawskiej"?

Adw. Engiel: Od kiedy przestano mutować „Dz. Wil."? Osk.: Od lipca, lub sierpnia 1937 r. Adw.: Czy p. red. Mackiewicz należy do publicystów, znanych z ostrości pióra? — Znany jest w całej Polsce. Prok.: Czy w pańskim pojęciu słowo to jest obraźliwe? — Jest b. ostre. — Ale czy obraźliwe? — Sądzę, że nie, a zresztą nie jestem upoważniony do wydawania sądu. Prok.: — Odmawia pan odpowiedzi?

*

Z kolei sąd przystąpił do przesłuchania świadków. Jako pierwszy zeznawał prezes Syndykatu Dziennikarzy Wileńskich, p. red. Walerian Charkiewicz, współpracownik „Słowa".

Św. Charkiewicz: Bezpośrednio po incydencie... Przew. Co pan nazywa incydentem? Św.: Zajście w „Dzienniku Wileńskim". Przew.: Proszę mówić o artykule, bo to jest przedmiotem tego procesu. Co pan może powiedzieć o red. Zwierzyńskim? Św.: Znam red. Zwierzyńskiego od kilku lat. Pracowałem z nim na terenie Syndykatu. Jest to najstarszy dziennikarz w Wilnie. Cechuje go spokój, równowaga i takt. Nie z własnej obserwacji, ale z tego co słyszałem o jego pracy społecznej pod okupacją, mogę stwierdzić, że to człowiek zasłużony. — A co do działalności politycznej? Te same zalety spokoju i umiarkowania. Zresztą świadczy o tem najlepiej to zaszczytne wyróżnienie, jakie go spotkało, gdy został wicemarszałkiem sejmu.

Adw.: Kiedy pan czytał recenzję o „C.O.P". Świad.: Zaraz po ukazaniu się, byłem bowiem ciekawy jak ujął ją pan Cywiński, bo sam także pisałem recenzję z tej książki Wańkowicza. Adw.: Pan mówił o red. Zwierzyńskim jako o działaczu politycznym. Niech pan więc powie jaką cieszył się on opinią u przeciwników politycznych? Świad.: Zaufaniem i uznaniem. Z kolei świad. Charkiewicz, autor artykułu o 25-leciu pracy p. Cywińskiego, mówił o zasługach oskarżonego docenta, położonych na polu wychowawczym, przy powstawaniu U. S. B. i t. p.

Drugi świadek, red. Fedorowicz, z „Dziennika Wileńskiego" podał bliższą charakterystykę red. Zwierzyńskiego, z którym przez dłuższy czas pracował. Prok.: Czy pan pracował razem z red. Kownackim. — Pracuję w „Dzienniku Wileńskim od 4 lat. W tym czasie red. Kownacki nie był współpracownikiem naszego pisma.

Adw. Engiel: — Chciałbym wiedzieć, czy panowie rozmawiali o recenzji „C. O. P."? — Nie. Rozmawialiśmy po zajściach w komendzie policji, co mogło być powodem napadu i tu dowiedzieliśmy się, że w grę wchodzi jakiś artykuł. Adw.: Czy panowie wiedzieli, że przyczyną był ów *passus?* Świad.: Nie. Ad.: W jakich warunkach panowie byli na policji? Świad.: Byliśmy... Przewod. przerywa. Następnie świadek opowiada o swojej współpracy z red. Zwierzyńskim na terenie rady miejskiej, w której oskarżony był bardzo czynny.

Pan prokurator w dalszych pytaniach powrócił do osoby red. Kownackiego. Świadek wyjaśnił, że w radzie miejskiej wytoczono postępowanie przeciwko Kownackiemu, lecz komisja dyscyplinarna raz się tylko zebrała a prezydent miasta wykluczył p. Kownackiego z rady miejskiej za opuszczenie kilku posiedzeń. Prok.: Czy „Dziennik Wileński" był

zawieszony w 1936 r.? — Nie wiem. Ale zdaje się, że nie. Mec. Engiel: — Czy zawieszenie „Dziennika Wileńskiego" nie było w 1931 r. po zamordowaniu ś. p. Wacławskiego? Świad.: Nie znam tego.

Następnie przesłuchano świad. Dagmarę Dworakowską i Stefana Burharda, którzy mówili o pracy naukowej i oświatowej doc. Cywińskiego. Świad. Dworakowska oświadczyła między innymi, że między red. Mackiewiczem a doc. Cywińskim toczyła się ostra dyskusja oraz że doc. Cywiński był bardzo podniecony artykułami p. Mackiewicza o Sergiuszu Piaseckim.

Przed zamknięciem przewodu sądowego prokurator zgłosił wnioski o dołączenie do akt sprawy tajnego rozkazu wojskowego o zakazaniu czytania „Dziennika Wileńskiego" przez oficerów oraz tajnego wyroku sądu oficerów sztabowych DOK-Grodno, dotyczące dyskwalifikacji honorowej członków „Dziennika Wileńskiego"; egzemplarza „Czasu", w którym Ksawery Pruszynski opisuje swój pobyt z delegacją akademicką w Belwederze, rozmowę z Marszałkiem Piłsudskim, i przytacza słowa o „obwarzanku" jako słowa Marszałka Piłsudskiego. Ława obrończa sprzeciwiła się wnioskom prokuratora, dotyczących tajnych dokumentów. O ile zaś sąd uwzględniłby je, to obrona prosiła o sprowadzenie akt sprawy, dotyczących dyskwalifikacji honorowej członków „Dziennika Wileńskiego". Sąd powyższe wnioski prokuratora uwzględnił, a wnioski obrony odrzucił.

W związku z tym obrona postawiła red. Zwierzyńskiemu szereg pytań, którymi ustaliła, że w Wilnie nikt go nie uważał za zdyskwalifikowanego honorowo. Przeciwnie, red. Zwierzyński miał sprawy honorowe z trzema dziennikarzami, którzy zamieścili wiadomość o jego rzekomej dyskwalifikacji. Sąd honorowy uznał wówczas, że red. Zwierzyński nie jest pozbawiony możności udzielania satysfakcji na drodze honorowej. Red. Zwierzyński wyjaśnił nadto sprawę zawieszenia „Dziennika Wileńskiego". W 1926 r. po przewrocie majowym, z powodu aresztowania redaktorów pisma, nie mogło ono wychodzić, ale zawieszone nie było. Natomiast po zabójstwie ś. p. Wacławskiego „Dziennik Wileński" był przez pewien czas zawieszony.

*

Po zamknięciu przewodu sądowego przemówienie oskarżycielskie wygłosił prokurator Żeleński. Zdaniem jego, cytat inkryminowany nie mógł odnosić się do red. Mackiewicza, jak to twierdzi oskarżony, a dotyczył osoby Marszałka Piłsudskiego. Również p. prokurator twierdzi, że red. Zwierzyński wiedzieć musiał, iż słowa cytowane były słowami Marszałka Piłsudskiego. Użyto ich, twierdzi prokurator, dlatego, aby dać wyraz swej nienawiści. Na dowód tego przytacza sprawę Obsta, Kownackiego. Wspomina również p. prokurator o sprawie zamknięcia „Gazety Warszawskiej". Kończąc przemówienie, prok. wniósł o najsurowszy wymiar kary w stosunku do Cywińskiego, i o surową karę dla red. Zwierzyńskiego.

Pierwszy obrońca doc. Cywińskiego, adw. Z. Jasiński przeprowadził dowód, że doc. Cywiński, jako członek nauki i wysokiej kultury nigdy nie używałby metod podstępnych w wyrażaniu swoich poglądów.

Drugi obrońca, adw. Glazer w długim wywodzie ściśle prawniczym wykazywał, że nie może w tej sprawie mieć zastosowanie art. 152 k. k., mówiący o obrazie narodu polskiego. Gdyby bowiem słowa te odnosiły się nawet do Marszałka Piłsudskiego, czego nie było, to i tak nie byłoby obrazy Narodu Polskiego.

Następnie obrońca zanalizował znaczenie słowa „kabotyn", które prokurator przedstawił w tak czarnych kolorach. Według jednej z francuskich encyklopedii słowo to określa człowieka, który nie wierzy w to, co mówi. Zdaniem jego cytat ten odnosił się do p. Mackiewicza, który nie mógł wierzyć w własne słowa, gdy mówił, że „Galicja dała wojsko, Wielkopolska pracę... a ziemie centralne tylko Messalkę." Oskarżony na karę nie zasłużył, bo nie popełnił zarzuconego mu przestępstwa a i tak już dość wycierpiał.

Mec. Engiel, obrońca red. Zwierzyńskiego, rozpoczął obronę od stwierdzenia, że o winie można by wówczas mówić, gdyby była świadoma i umyślna, tego nie było, gdyż nawet cenzor, nawet urząd prokuratora nie dopatrzył się w inkryminowanym słowie przestępstwa i obrazy Marszałka Piłsudskiego. Cytat powyższy nie był znany. Nie jest on również zawarty w pismach zbiorowych J. Piłsudskiego, ani w „Strzępach meldunków" — gen. Składkowskiego. Czyż mógł znać je oskarżony? Skoro nawet szef O.Z.N. na woj. nowogródzkie i członkowie tego obozu nie wiedzieli, że to są słowa Marszałka Piłsudskiego? Prokurator, aby udowodnić, że autorem tych słów był Piłsudski, musiał sięgnąć do artykułu dziennikarza, który stawiał wówczas pierwsze kroki na tym polu.

Jeżeli obraza Marszałka Piłsudskiego nie mogła tu mieć miejsca, to zasadnicze przesłanki aktu oskarżenia upadają. W dalszych wywodach adw. Engiel rozprawił się z zarzutami prokuratora, jakoby red. Zwierzyński zmieniał zeznania, oraz jakoby obraza Marszałka Piłsudskiego miała leżeć w interesie oskarżonego. Czy ten człowiek — mówi obrońca o red. Zwierzyńskim — który był tak wielkim patriotą, który tak ukochał Polskę i dla niej tyle pracował, mógł znieważyć naród Polski? Zarzut taki dosięgnąć go nie może. I kiedy w tym sercu Polski jest sądzony, to wierzę, że wyjdzie uniewinniony.

Z kolei przemawiał adw. L. Nowodworski, który stwierdził, ze w procesach tego rodzaju są obok spraw istotnych różne naleciałości i rzeczy uboczne. O ile chodzi o Zwierzyńskiego — wierzę mu, że nie wiedział o tym, że są to słowa Marszałka Piłsudskiego. Wierzę, bo wierzyli mu nawet przeciwnicy polityczni. Zresztą, żeby udowodnić, że chciał on obrazić naród polski, potrzebne są konkretne dowody, a nie przypuszczenia. Dowodów nie ma. Nie ma więc tego, co jest konieczne do popełnienia przestępstwa — zamiaru obrazy czy lżenia. Możnaby mówić o lekkomyślności, ale i jej nie było, a cóż dopiero twierdzić, że tu był zamiar i świadomość obrażania. Stoimy wobec winy, która nie jest oczywista, proszę więc o uniewinnienie.

Ostatni z obrońców przemawiał adw. Jan Pieracki ze Lwowa. Zanalizował on treść prawniczą artykułu 152 k. k. i stwierdził, że w żadnym wypadku — nawet gdyby zachodziła tu obraza Marszałka Piłsudskiego — nie mógłby on być stosowany w sprawie doc. Cywińskiego i red. Zwierzyńskiego. Wystarczy przypomnieć, że uchwalona została ostatnio specjalna ustawa o ochronie czci Marszałka Piłsudskiego. Jest rzeczą oczywistą, że uchwalając tę ustawę, zdawano sobie sprawę, że art. 152 k. k., mówiący o obrazie narodu polskiego, nie obejmuje przekroczeń przeciw nowej ustawie o ochronie czci Marszałka Piłsudskiego. Po przemówieniach obrońców replikował prokurator.

*

Na trzeci dzień 11 kwietnia Sąd Okręgowy ogłosił wyrok skazujący osk. Cywińskiego na 3 lata więzienia z art. 152 K. K. (zniewaga narodu polskiego); Aleksandra Zwierzyńskiego uniewinniono.

Ze względu na brak miejsca motywy wyroku odłożyć musimy do numeru następnego.

NAUKA I LITERATURA

ŚWIATŁA TAJEMNIC

Matematyka z poezją, te dwie napozór sprzeczne z sobą dziedziny, splotły się w jedno w cichej subtelnej twórczości Szczepana Jeleńskiego (Katerwy). Obie go wiodą często w sferę zagadnień religijnych, którym ostatnio coraz częściej pióro swe poświęca (pamiętamy jego wnikliwe sylwetki psychologiczne w cyklu „Postacie świętych"). I tu dokonywa się na podstawie dwóch wspomnianych kierunków nowa synteza: logiki z mistyką.

Syntezy tej najpiękniejszy wyraz dał Jeleński w nowej swej książce noszącej tytuł „Światła tajemnic" (księga św. Wojciecha).

Tytuł to paradoksalny — coś jak *lucus a non lucendo*. Bo jakże tajemnica może mieć w sobie światło... albo sama być światłem? Przecież tajemnica to mrok i ukrycie, jeśli jest w niej jakie światło, to chyba ukryte pod korcem.

Tak sobie gotów pomyśleć niejeden laik. Ale człowiek zarówno kochający logikę jak mistykę, będzie sądził inaczej. Wszak mrok i tajemnica powstają tylko dzięki temu, że jest światło i wiedza. Gdyby nie było światła nie byłoby i tajemnicy. Tak też i *vice versa*, tajemnica silniej uwydatnia światło. Najwyższa prawda jest jak słońce, w które patrzyć nie możemy, bo nazbyt wielka jest jego światłość. Dlatego, jak w słońcu, tak w wyższej mierze w Bogu muszą być tajemnice niezgłębione. Są to tajemnice Boże, o których pamiętamy — a przynajmniej pamiętać powinniśmy — z katechizmu.

A prócz tego istnieją inne jeszcze tajemnice wysokie. Tajemnice, które są podstawą wiary. Bo bez tajemnic nie istniałaby wiara; ona ma być „suplementem", tam gdzie już rozum nie może zgłębić „tajemnicy", czyli prawdy nazbyt wysokiej.

A nie tylko w dziedzinie religii są — i muszą być tajemnice. Są one bodźcem każdej twórczości ludzkiej, artystycznej czy innej. Gdyby nie było tajemnic, nie byłoby badań, nie byłoby ciekawości i podniet poznania. Więc Bóg, ktory jest tajemnicą Najwyższą, dał ludziom błogosławieństwo tajemnicy, równe dwom innym błogosławieństwom: pracy (twórczości) i miłości.

Na temat tajemnic i ich blasku rozmawiają w książce Jeleńskiego ludzie świeccy, towarzysze wspólnych pobytów w górach. Dialog ten — a poniekąd i tło — nadaje „Światłom tajemnic" podobiaństwo do „Wieczoru nad Lemanem" ks. Morawskiego. Ale jest różnica poważna w zużytkowaniu tych dwóch sposobów. Oto w książce Jelińskiego osoby dialogu, początkowo nienazwane, dopiero zwolna odsłaniają tajemnicę swych osobowości. Przyroda zaś, przez grę swych blasków ściślej łączy się z treścią dialogu. Stąd i do tej metody przystało miano „Światło tajemnic".

Zarówno dialog, jak i opisy są przeprowadzone po mistrzowsku. J. B—r

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

U Grasseta w Paryżu wyszła książka Mariusa Lepin'a: *Le Probleme de Jésus. En réponse à M. M. A. Loisy et Ch. Guignebert* (str. 308 + nlb) — już w 6 wydanie, co świadczy o jej poczytności. Rozprawia w niej autor głównie z dwoma dziełami mianowicie Loisy'ego *„La naissance du christianisme"* i Guignebert'a *„Jésus"*. Oba te dzieła są bowiem streszczeniem wyników osiągniętych przez racjonalistyczną krytykę w odniesieniu do zagadnienia Jezusa. Odrzucają obaj *a limine* dowodzenia mitologów zaprzeczających istnieniu Chrystusa, ale dużo przyjmują od Straussa, Bauera, Feuerbacha, Renana i Harnacka. Obaj przedstawiają się jako historycy bezinteresowni, trzymający się ściśle tekstów ewangelii. Rozważając je na tle historycznym widzą fakt zidealizowania, fakt sugestii. W pismach św. Pawła widzi główny zrąb doktryny a Jego wola polegała na przepojeniu wierzeń pierwotnych ewangelicznych pierwiastkami gwary mistycznej. Loisy uważa, że na idealizację Chrystusa wpłynęło środowisko judeo-helleńskie. Lepinowi jednak dokładniejsze i ściślejsze zbadanie treści tekstów ewengelii zwłaszcza synoptyków pozwala do wręcz przeciwnych dojść wniosków zgodnych z ustalonym kanonem wiary. Wogóle zaś wiarę uważa za prawdziwy klucz do rozwiązania problemu. Argumenty Lepina znajdują pomoc nawet u takiego racjonalisty jak Conchoud, który akcentuje fakt, że u żydów znanych z realistycznego i ziemskiego pojęcia Mesjasza, nie mogła powstać idea Królestwa Bożego, czyli że Chrystus musiał być Bogiem. Racjonaliści nigdy zagadki tej nie rozwiążą, usiłowania ich daremne. — Zadziwia drobiazgowość i wprost pedantyczność oraz wielka cierpliwość w opanowywaniu wszelkich zarzutów i twierdzeń racjonalistów. (J. S.)

*

Do najciekawszych nowości wydawniczych w Paryżu należy niewątpliwie nowa książka Ferdynanda Céline'a. *„Bagatelles pour un massacré" (Editions Denoël)*. Znowu autor *„Voyage au bout de la nuit"*, który zwrócił na siebie uwagę swym realizmem, umiejętnością pisarską i znajomością najniższych warstw społecznych, a także językiem bardzo surowym, niektórzy powiadali — pospolitym i ordynarnym — wystąpił teraz do walki z żydami. Odbył podróż do Rosji, przyjrzał się tamtejszym stosunkom i napisał broszurę mało pochlebną dla gospodarki sowieckiej *(Mea Culpa)*, o wiele ciekawszy i głębszy niż Gide, a mimo to przemilczany. Doświadczenia i obserwacje dały Céline'owi widocznie dużo do myślenia, skoro nagle niespodziewanie wystąpił z tak ciężką armatą przeciwko żydom. Na czterystu stronicach dużego formatu traktuje Céline o wszystkich zagadnieniach związanych z obecnością żydów w Europie. Jeśli chodzi o treść, to wiele z tego już czytaliśmy i słyszeliśmy. Lecz forma jest całkiem nowa, forma niezmiennie Céline'owska, a więc wymysły, inwektywy, furia prawdziwa. Jest tedy ta książka symptomem ewolucji poglądów u młodszej generacji pisarskiej we Francji.

Radzimy książkę przeczytać. (ks.)

Z TEATRU

CYRANO DE BERGERAC

W TEATRZE NARODOWYM

Entuzjazm, jaki budzi postać tytułowa, składa się z dwóch zasadniczych uczuć: podziwu i sympatii.

Stwórca hojnie wyposażył tego gaskońskiego szlachcica. Połączenie w jednej osobie tylu talentów musi wywierać olśniewające wrażenie. Jest w nim coś z nad-człowieka, jakieś, częściowe przynajmniej ucieleśnienie europejskich tęsknot do szlachetności. W każdym razie jest w nim sarmacki, staropolski, a nie tak znów zupełnie obcy nam dzisiaj, ideał brawury. Poeta — i to wirtuoz-improwizator, satyryk i dziennikarz, muzyk, rębacz i zawadjaka, marzący o podróży na księżyc w czasie pokoju, a czytający Descartes'a w czasie wojny. Do tego rycerski kochanek, niezrównany kompan i awanturnik o szalonej odwadze i kipiącym temperamencie.

Komedia Rostanda zdobyła wstępnym bojem publiczność paryską; wystawiana była przez dwa lata bez przerwy. Książkowe jej wydanie rozeszło się w 200 tys. egzemplarzy.

Później spokojna i chłodna krytyka umieściła tę „komedję heroiczną" na dosyć pośledniem miejscu, zdala od arcydzieł francuskich. Analiza i krytyka porównawcza wykazały bez trudu znaczne powinowactwa osoby de Bergerac'a, oczywiście na czele z historyczną postacią tego nazwiska, co jeszcze nie było najgorsze. Ale ujawniono też, że Rostand korzystał szeroko z cudzych... doświadczeń, że typy postaci,

sceny, dowcipy, powiedzenia, wiersze — zapożyczył z wielu dzieł literatury, sztukując tem swą skromną pomysłowość i tworząc w rezultacie komedię niedość sharmonizowaną, niejednolitą w konstrukcji, nietęgą w intrydze. Baron de Neuvilette zamało jednak, jak na kochanka wybrednej Roksany, przejawia rozumu, intuicji i godności, jeżeli korzysta tak długo z pomocy rywala. A znów co do Roksany — to trudno uwierzyć, ażeby tak długo pozbawiona była tego zmysłu orientacyjnego, który kochającej kobiecie pozwala widzieć prawdę poprzez wszystkie fałsze i zasłony. Tak, cała intryga w istocie jest nieco naiwna; naiwne są także lub niezręczne niektóre sytuacje w tej komedii. Jeżeli widz będzie oczarowany, daruje wszystkie te braki. W każdym razie trudności dla aktorów są duże. Np. w akcie III. („Pocałunek Roksany"). Dama stoi na balkonie i nie okazuje najmniejszego zdziwienia, kiedy zamiast Chrystiana mówi w dalszym ciągu Cyrano. Łatwo było Rostandowi napisać, że tokowanie ma się odbywać prawie szeptem. A co zrobić, żeby każde słowo doszło do ostatnich miejsc sali teatru? Można mówić i szeptem donośnie, ale tak długo niewytrzymałby żaden aktor. Nie wytrzymałaby i publiczność, pragnąc zupełnie słusznie, aby słynny monolog miłosny był wykonany pełnią dźwięku i modulacji głosu. Wtenczas znów przez głowę najbardziej zachwyconego słuchacza musi przeniknąć niepokojąca refleksja: dlaczego Roksana nie zauważyła nagłej zmiany adoratora?

Widowisko zaczyna się nudnie; wogóle w scenach zbiorowych tempo jest słabe, aktorzy się czasem rozłażą; szwankuje reżyseria.

Głównego bohatera gra Jerzy Leszczyński. Nie widzimy lepszego artysty do tej roli. Ale skala głosu i talentu Leszczyńskiego nie objęła, nie wygrała w pełni wszystkich strun osoby Cyrana. Leszczyński doskonale odtwarza swadę Cyrana, jego wspaniałą, trochę pańską a trochę zawadiacką swobodę, jego rycerską galanterię, panowanie nad sobą, wreszcie jego sentymentalne nastroje. Ale np. w „Pasztecierni poetów" w rozmowie z hr. de Guiche — ma zbytnio może dyplomatyczny ton i gest, a za mało junactwa, rogatej duszy. Chcielibyśmy wogóle widzieć w Cyranie więcej srogiej energii i dumy. Jedynie prezentacja „gaskońskich junaków" Carbona w akcie II. robi niezwykłe wrażenie. Dawno nie słyszeliśmy w Warszawie tak żywiołowych oklasków w czasie gry. Wrażenie potęguje się jeszcze kiedy Leszczyński wygrywa całą duszę Cyrana jako zakochanego rycerza-poety (akt III.), jako tęskniącego rycerza do swej najbliższej a tak chwilowo dalekiej ojczyzny (akt IV.), i nakoniec jako swego rodzaju Don Kichota, umierającego za ideały. Zofia Kajzerówna w roli Roksany jest więcej, niż poprawna, nic jej zarzucić nie można, prócz tego, że dysponuje średnim wdziękiem, gdy tymczasem Roksana powinna być poprostu czarująca. Chrystianem był Leon Łuszczewski. W roli hr. de Guiche wystąpił Tadeusz Białoszczyński, który nie wyrobił sobie potrzebnej do tej roli wielkopańskiej władczości i pychy. Raguenau, pasztetnika - wierszokletę gra Stanisław Łapiński. Kapitanem de Castel Jaloux, tęgim i potężnym, jest Franc. Dominiak. Poetę - pijaka odtwarza L. Fritsche. Aleksandra Zelwerowicza wymieniamy ze względu na jego sławę aktorską, bo tutaj ma b. małą rolę Montfleury'ego - aktora z Hotelu Bourgogne.

Reżyserował J. Leszczyński. Dekoracje (niedbałe w V. akcie) wykonał Andrzej Pronaszko. Ilustracja muzyczna Jana Maklakiewicza. T. D.

ZE ŚWIATA MUZYKI

Z NIEDOLI OPERY I RADIA

OBOWIĄZKIEM krytyka, w sensie, w jakim go zrozumiał Robert Szumann w swojej *„Zeitschrift für Musik"*, jest sygnalizowanie społeczeństwu każdego nowego talentu, który się pojawił na horyzoncie ojczystym. Co więcej, do obowiązków tych należy baczna obserwacja zjawisk ogólnych, dotyczących naszego życia muzycznego. Nie możemy się żadną miarą skarżyć na posuchę na tym polu. Niedawny, arcysmutny strajk zespołów operowych, który się odbił zbyt głośnym echem za granicą, niedola artystów polskich, zażydzenie estrad koncertowych i radiowych, wszystko to są zagadnienia, które powinny być odsłonięte i omówione. Sprawa opery warszawskiej, pozornie załatwiona przez 300 tysięczną zapomogę „na dokończenie sezonu" daleką jest pomimo tego od rozwiązania w takim sensie, aby stołeczny teatr operowy w Polsce mógł nareszcie stanąć na poziomie artystycznym, godnym trzydziestotrzymilionowego państwa. Te półśrodki materialne, jakie przyznano (po 10-ciu dniach strajku!) dzielnemu Zrzeszeniu Artystów Opery to jedynie doraźny zastrzyk, nie zaś należyta, rozumnie pojęta kuracja. A przecież wiemy aż nazbyt dobrze, że zarówno scena, jak kulisy Teatru Wielkiego, które mogłem był dokładnie zwiedzać w czasie strajku, urągają najelementarniejszym wymaganiom higieny i bezpieczeństwa. Wiemy również że brzmienie orkiestry straciło ostatnio wiele ze swej dawnej świetności, to samo dałoby się powiedzieć o chórze i zespole solistów. Trzeba po pierwsze operę warszawską u p a ń s t w o w i ć a następnie sięgnąć po najlepszych wykonawców, przesiać tych, którzy są tam obecni, niejedną siłę przenieść na emeryturę, a kto wie czy niejednej z „emerytek" jak np. Olesza nie zaprosić ponownie na scenę. Na czele Opery stanąć wówczas powinien człowiek nietylko silnej ręki, ale i dużego autorytetu muzycznego, któryby nie tylko tolerował obecny poziom artystyczny ale potrafił przeprowadzić stałą, logiczną linię repertuarową. Człowiek tej miary, co Schalk, Toscanini lub Stokowski.

Nie zapominajmy, że tradycje Moniuszków, Quatrinich, i Młynarskich a przedewszystkiem honor muzyczny Polski domagają się postawienia opery stołecznej w Warszawie na najwyższym poziomie. Czas sprawi, aby chluby wokalne polskie jak Kiepura, Czaplicki, czy Bandurska Turska weszły w skład stałego zespołu solistów. Oprócz zagadnienia opery, w najszerszym słowa tego znaczeniu postawiłbym sprawy programowe Polskiego Radia. Radio jest wszędzie wykładnikiem kultury muzycznej w piewszym rzędzie, popularyzostwem słowa i dźwięku w najszerszych sferach społeczeńswa. I dlatego właśnie P o l s k i e Redio powinno mieć p o l s k i e oblicze.

Dla uważnego obserwatora programów (zwłaszcza muzycznych) staje się coraz bardziej jasne, że olbrzymi odsetek wykonawców - instrumentalistów, jacy się od paru lat produkują przed mikrofonem — to żydzi. Grają oni bądź pod pseudonimami, a najczęściej *in crudo*, jako „blumy", „steiny", lub „bergi". W jednym z pism polskich podałem niedawno bogatą listę alfabetyczną tych „polskich" wykonawców, liczba ich dochodziła setki. Nie będę się zatem powtarzał, zresztą wątpię, czy Wydział Prasowy Radia interesuje się tym, co się o nim pisuje. Sprawa powyższa jest o tyle smutniejszą, że godzi ona w artystów istotnie polskich.

Wiele z nich nie angażuje się pod różnymi pretekstami, innych wogóle się nie widzi... A przecież Radio, to nie T-wo Dobroczynności, a koncert przed mikrofonem to normalny „zwrot strat", jakie przynosi artystom radiofonizacja kraju w stosunku do ich występów publicznych. Te sprawy coraz wyraźniej domagają się rewizji, jak wiadomo zwróciły one niedawno baczną uwagę naszych ciał ustawodawczych. Bo nikt chyba nie zaprzeczy, że zarówno Opera stołeczna, jak naprawdę P o l s k i e Radio, są to dwa rezerwaty kultury muzycznej, które się nawzajem winny wspierać i uzupełniać. Wobec tych dwu, zdaniem moim, najważniejszych spraw ogólnych, przegląd artystyczny estrady odłożę do następnego feiletonu.

ASPER

Z SALI ODCZYTOWEJ

RZYM STARO-CHRZEŚCIJAŃSKI

KS. PROF. Antoni Kwieciński wygłosił w sali *Theologicum* ilustrowany przezroczami odczyt o Rzymie Staro-chrześcijańskim.

Wówczas gdy Rzymie rządził ponury i okrutny cesarz Tyberiusz, jednocześnie w dalekiej Judei nauczał Chrystus zwan także Jezusem. Tyberiusz, dotknięty cierpieniami duszy i ciała, stronił od ludzi i chował się w całkowitą samotność. I przyszło nań, że obłożnie zachorzał: wraz ze starością zwaliła się słabość, wrzody pokryły jego ciało i leżał opuszczony od Boga i ludzi. I wtedy posłyszał o Jezusie, lekarzu chorych, wskrzesicielu umarłych i posłał sługę imieniem Werosianus z pismem do namiestnika Judejskiego, Piłata Ponckiego, żądając dostarczenia owego uzdrowiciela i cudotwórcy. W jakimże znalazł się Piłatus kłopocie — przecie niedawno Barabasza uwolnił, Jezusa zaś na śmierć krzyżową przeznaczył — gdy przyszło mu na pismo odręczne cesarza odpowiadać. Ale fortunniejszy odeń Werosianus natknął się w powrotnej drodze na świętą Weronikę i od niej wyprosił chustę z wizerunkiem pańskiego oblicza. Jak wieść niesie, wystarczyło jednego spojrzenia na bezcenną relikwię, aby Tyberiusz poczuł się zdrowym i silnym.

Opowiadane tutaj podanie staro-chrześcijańskie kryje głęboką prawdę o tem, jak chrześcijaństwo ratowało i dźwigało z upadku pełen uwielbienia dla materii świat pogański. I tak — Rzym katakumbowy nie podminował swymi krużgankami i galeriami starożytnej Romy, nie przyczynił się do upadku państwa, — przeciwnie to, co w nim było zdrowego zdołał dla przyszłości świata ocalić i w kościele przechować.

W 12 lat po tem wydarzeniu zakurzoną drogą appijską podążał do Wiecznego Miasta Piotr Rybak i szedł mając u stóp rozległe cmentarze miejskie, rozłożone wzdłuż drogi, przez kupców ze Wschodu zwanej *Katakumbas*.

Cmentarze, pełne nagrobków, o dziwacznych nieraz inskrypcjach na marmurowych płytach, z których uderzał powszechny ton, że oto życie przeminęło, a jedyne co pozostaje po człowieku, to ślad pamięci u przyjaciół. Więc wyryć się w ich sercach choćby przez koncept dziwaczny lub rzewny, elegijny frazes. Tak reagował na nietrwałość życia ziemskiego sceptyczny świat pogański, nie przekonany do głębi o życiu duszy po śmierci ciała. Jakżeż inne, pełne wiary w szczęśliwość niebieską będą inskrypcje na grobach uczniów Piotra, w katakumbach.

Piotr zamieszkał koło Porta Capella, a według innej wersji w najuboższej dzielnicy na Zatybrzu; później osiedlił się u senatora Pudencjusza na Wyminalu. W 64 r. po Narodzeniu Chrystusa wybuchł w dzielnicy handlowej Rzymu pożar i wnet ogarnął połacie miasta. Pisze Tacyt, że pastwą płomieni padły liczne świątynie, pałace i lepianki, wieść gminna oskarżała o podpalenie Nerona. Ten zaś zrzucił winę na chrześcijan, nielubianych dla obcego Rzymianom trybu życia. W ślad za oskarżeniem poszło prześladowanie i męczeństwo na arenie cyrkowej i w ogrodach cezara, w dzielnicy watykańskiej, gdzie płonęły „pochodnie Nerona". Zginął i Święty Piotr, pogrzebany najpierw przy Via Appia, a potem przeniesiony do pieczary koło Via Cornelia.

W 300 lat znowóż cesarz Konstantyn Wielki ogłosił swobodę wyznawania chrześcijańskiej wiary i wzniósł na miejscu dawnego Cyrku Bazylikę św. Piotra. Wielu potem papieży ciągnęło gigantyczną budowę, aż Urban VIII dokończył budowy dzisiejszej Bazyliki św. Piotra. W niej, na przecięciu naw — poprzecznej i podłużnej znalazł miejsce grób Rybaka.

Zstąpmy teraz do podziemi Rzymu, w których przez długie wieki Kościół znajdował schronienie.

Na tym wielkim cmentarzu ówczesnych chrześcijan znajduje się 6 milionów grobów, a długość korytarzy wyżłobionych w t. zw. tufie ziarnistym mierzyć można odległością np. z Warszawy do Wilna albo do Gdyni. Labirynt to, w którym zabłądzić łatwo bez przewodnika. Owo *ceneterium in catacumbas* od XVI w. skróciło nazwę i przeszło w dzisiejsze — katakumby. Jest to szereg kompleksów cmentarnych przy 16 drogach konsularnych wiodących do Stolicy świata. Składają się na każdy z nich korytarze podziemne, przecinające się pod kątem prostym.

Katakumby Kaliksta przy Via Appia mieszczą się dziesięć metrów pod ziemią: ciasny korytarz, w którym za mało miejsca dla dwóch obok siebie osób; można iść tylko gęsiego. Groby w ścianach mają kształt szuflad, zwróconych do nas swym dłuższym bokiem, w większości otwarte lub ze śladami niszczycielskiej ciekawości (dziś pod groźbą ekskomuniki nic zabrać stamtąd nawet „na pamiątkę" nie wolno), niektóre tylko pozasklepiane cegłą lub zwykłą murarską zaprawą. Obok grobu mała lampka oliwna i ampułka, co do której mylnie do niedawna sądzono, iż zawiera krew męczenników — chowano w niej zwyczajnie wonności i olejki, specjalnie na ten cel przeznaczone.

Na ścianach malowidła o treści zarówno świeckiej jak i liturgicznej albo symbolicznej, a więc najczęściej: rybak z siecią, jeleń spragniony u źródła, gołąbek pokoju z różdżką oliwną w dziobku, wreszcie „dobry pasterz" z jagnięciem odnalezionem na barkach — motywy znane i zrozumiałe.

Ornamenty zapełniają przeważnie strop, w większym stopniu niż ściany. Składają się na nie wielokąty lub koła koncentryczne, jako obramowanie malowideł, poprzedzielane na pola liniami prostymi albo falistymi. W poszczególnych polach — gałązki, owoce, kwiaty i postaci ludzkie.

Korytarze zbiegają się, jak do punktu centralnego do kaplicy, w której pochowano szczątki męczennika. Obok liczne groby, „jakoby pszczoły dokoła swej matki i królowej" (apolog).

Obok Bazyliki i Katakumb równie godne uwagi miejsce, to Colosseum, gmach odbudowany rękoma 12 tysięcy niewolników żydowskich, wziętych przez Wezpazjana i Tytusa, oraz przy czynnym udziale 15 tysięcy rzemieślników i biegłych mistrzów. W 86 r. po Narodzeniu Chrystusa nastąpiło otwarcie Colosseum i wielkie igrzyska, przewyższające swym rozmachem i wspaniałością wszystko dotychczas widziane.

Były tam walki gladiatorów — w pojedynkę i tłumami, na lądzie i na sztucznem jeziorze, aż woda się krwią rumieniła; to znów z pośród otworów rozsuniętych w drewnianej podłodze areny wykwitał gaj uwieńczony chmarą ptaków egzotycznych odzywających się w gęstwinie liści; a za chwilę zwierzęta rozdzierały zaszytych w skóry, śpiewających psalmy, chrześcijan. Dziś na arenie Colosseum wzniesiono krzyż — symbol Zwycięstwa.

St. J.

NA MARGINESIE

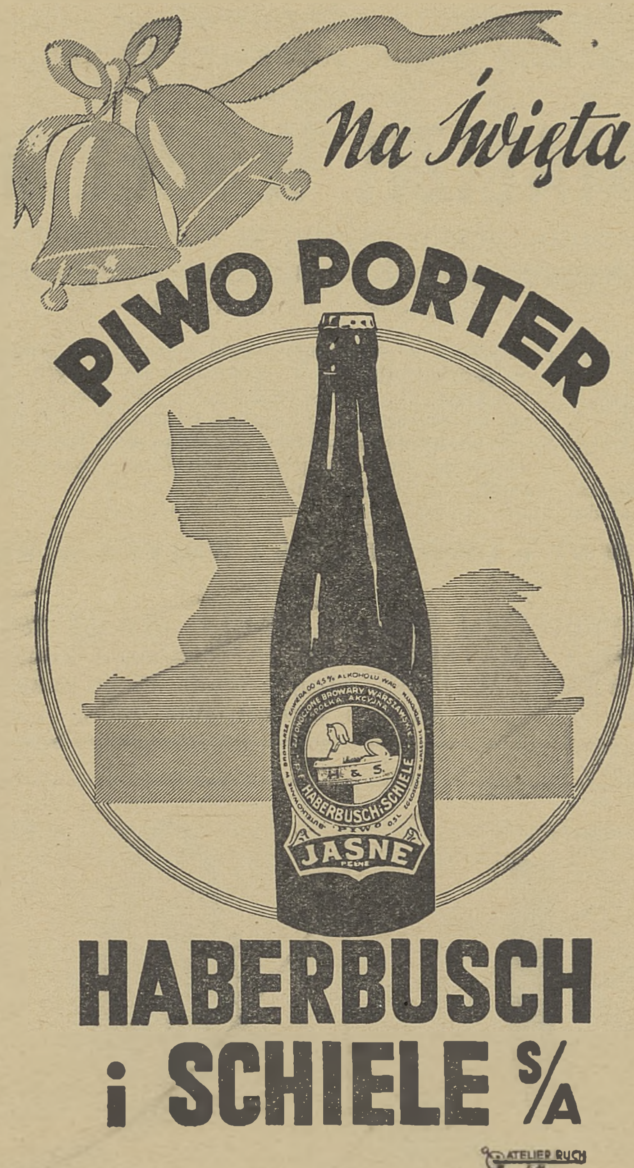
Słychać w powietrzu:

— Dzieci Wdowy, dość już bałamuctwa prawości! Na lewo braciszkowie, na lewo, — na kolankach do folks frontu.

*

— Starożytni Grecy przepowiadali podczas walki interwencję Olimpu według lotu ptaków.

— To samo jest dzisiaj. Temi ptakami są „kaczki", a w plotce znajdzie się zawsze trochę prawdy.


Na Święta
PIWO PORTER
JASNE
HABERBUSCH
i SCHIELE S/A
ATELIER RUCH

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 8/5. Tel. 205.80 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.